

**MACIEJ KUCZYŃSKI**

**KASK**



## CZYTELNIK WARSZAWA 1978

*W styczniu 1978 roku w Warszawie na ulicy Puławskiej, w pobliżu Królikarni, został znaleziony pamiętnik chłopca o imieniu Marek, mieszkającego, jak można wnioskować z zapisków, gdzieś w tej okolicy. Po kilku dniach znalazca przekazał w moje ręce zeszyt, przekonany, że mnie łatwiej może będzie odszukać właściciela, bo ja mieszkam w pobliżu.*

*Podjąłem w tym kierunku rozmaite próby, a także dałem ogłoszenie do gazet. Kilka-krotnie ukazywało się w lutym. Niestety, bez rezultatu. Przeczytałem więc notatki w nadziei, że znajdę w nich dokładniejsze dane o autorze. Tego tam nie było. Natomiast sama treść pamiętnika, napisanego ręką licealisty, okazała się nieprawdopodobnym odkryciem. Opracowaną co nieco, podaję do druku.*

*Pamiętnik wyjaśnia nam w zdumiewający, budzący ufność i nadzieję sposób wiele zdarzeń, których przebieg śledziliśmy w gazetach, nie zdając sobie sprawy, my, czytelnicy i dziennikarze, co naprawdę je wywołało.*

*Do ogłoszenia pamiętnika drukiem skłoniło mnie przekonanie, powzięte na podstawie pewnych oznak, że został zgubiony celowo. Taką drogę, jak sądzę, wybrano, by ostrożnie, bez nadmiernego wzburzania umysłów, ujawnić sprawę o najwyższym znaczeniu dla mieszkańców naszej Planety.*

## 1.

Dziś trzeci dzień od chwili Zmiany. Zresztą, nie wiem jeszcze, jak to nazwać, może znajdę później lepsze określenie. Nigdy dotąd nie pisałem pamiętnika, to, co piszę teraz, też nie będzie pamiętnikiem w pełnym tego słowa znaczeniu. Raczej chodzi mi o notatki sporządzane nie po to, aby kiedyś, po latach, móc wrócić do tak utrwalonych zdarzeń. Chcę, by po-mogły mi teraz, w tej chwili, w tych dniach, zrozumieć, co się ze mną dzieje. Łatwiej mi po-porządkować zdarzenia i oceniać je właściwie, kiedy przemieniam je w słowa i ujęte w krótki opis przenoszę na papier. No, a gdyby cała ta historia,

trwająca już przecież trzy dni, okazała się jednak jakimś rodzajem halucynacji, przywidzenia, to w każdym razie zostanie mi ten zapis. Do końca życia będzie mnie upewniał, że przeżyłem coś tak niezwykłego.

Napisałem to, ale w głębi ducha jestem zupełnie przekonany o prawdziwości moich spostrzeżeń i o moich zdrowych zmysłach. W końcu, przez trzy dni, ktoś w domu czy w szkole musiałby zauważyć coś dziwnego w moim zachowaniu. Próbowaliby mnie prowadzić do lekarza, kłaść do łóżka. Nic takiego się jednak nie dzieje.

Jest jedenasta wieczór, siedzę w swoim pokoju pod lampą i widzę wyraźnie w jasnym kręgu na stole słoje i włókna drewna. Wzrok mam ostry, nic się nie zamazuje, tak jak się to zdarza choćby w gorączce. Widzę małego owada zwabionego ciepłem i światłem lampy, jak biega dokoła, próbuje wcisnąć się pod zeszyt, a kiedy dotykam go długopisem, wyskakuje jak na sprężynie, znikając mi z oczu, po czym spada z cichym trzaskiem na stół, składa skrzydełka, jasnokawowe, i znów biega pośpiesznie.

Słyszę, jak tramwaje tłuką obręczami o szyny. Prawda — przecież mam już sposób na ich uciszenie! Ale to nie teraz. Muszę skończyć tę pierwszą porcję notatek. Jeśli chcę naprawdę zachować zdrowe nerwy i jasność umysłu, muszę działać wolniej niż kiedykolwiek, z rozwagą, w porządku większym niż zazwyczaj, bo systematyczny nigdy zanadto nie byłem. Nie mogę dać się porwać mojemu odkryciu. Trzeba krok za krokiem, bez podniecania się, krótko trzymając fantazję. Bo kiedy pozwalam myślom biec swobodnie, kiedy się rozpędzają i próbują mi ukazać całą moją władzę, kiedy uświadamiam sobie, jak niesłychana rzecz mnie spotkała i jakie są teraz moje możliwości, ogarnia mnie oszołomienie, serce bije mi nieprzytomnie i w końcu nie wiem, co właściwie powinienem uczynić.

To już chyba mam za sobą. Dziś znacznie chłodniej patrzę na odkrycie niż jeszcze wczoraj. Tak być musi, jeśli chcę wykorzystać w pełni właściwości kasku.

Za ścianą gra radio, Zośka, moja siostra, nagrywa na taśmę koncert. W drugim pokoju rodzice goszczą kolegę biurowego taty. Otwierałem mu drzwi i wydało mi się, że to wielki konik polny ubrany w płaszcz deszczowy, z podniesionym kołnierzem. Wrażenie było tak silne, zwłaszcza w marnym oświetleniu schodów, że tkwiłem

w drzwiach nie prosząc go do środka nieco zbyt długo, aż zmieszany zaczął szurać nogami, jakby pomylił mieszkanie. Szczęśliwie zjawił się Hubert, czyli tata. Ta historia znów wzbudziła moje podejrzenie, że nie tylko w związku z kaskiem, ale i w ogóle zaczynam doznawać omamów wzrokowych. Poszedłem więc czym prędzej do kuchni, gdzie mama szykowała kawę, i z radością stwierdziłem, że placek ze śliwkami nie zmienił się na przykład w płytę chodnikową, a kiedy wpakowałem do ust ściągnięty kawałek i cieszyłem się jego nie zmienionym smakiem, odezwała się Ela:

— Wiesz, kogo mi ten kolega Huberta przypomina? Jakiegoś zasuszonego owada.

Zupełnie uspokojony wróciłem do siebie. Tu też wszystko jest jak dawniej. Nad stołem wisi rzeźbiona rama, pusta, a w niej, na białej ścianie, bębnekowy pistolet z bibułkowym kwiatem w lufie. Nad moim tapczanem plakat, zdjęcie tabunu koni pędzących o świcie po błyszczącej trawie, z rozwianymi grzywami, wprost w słońce. Obok półka z książkami, nad nią metalowe modele motocykli (trochę farba z nich zeszła), odziedziczone po Adamie, starszym bracie, odkąd wyprowadził się z domu po skończeniu studiów i przestał zajmować się motocyklami. Po nim też kask mi został.

To jedyny przedmiot w całym moim otoczeniu, świadczący, że coś się jednak wydarzyło. Nic poza nim. Widzę w tym dodatkowy dowód mego zupełnego zdrowia. Przecież szaleństwo nie może tak się objawiać, że tylko jeden przedmiot wydaje nam się niezwykły, a cała reszta świata pozostaje bez zmiany.

Widzę go ponad krawędzią stołu, wisi tam gdzie zawsze, nisko, na ścianie obok tapczanu. Pomyśleć, że jeszcze kilka dni temu chciałem go wyrzucić! Przed laty zawisł tu niemal jako świętość. Sam byłem jeszcze w wieku rowerowym, kiedy Adam miał już własny motocykl i startował w wyścigach przełajowych w klubie. Ojciec z któregoś wyjazdu na Zachód przywiózł mu ten japoński hełm, podwójny, wyściełany, ze specjalną amortyzacją i wypukłą szybą spuszczaną na twarz jak w hełmach astronautów. Przymierzałem go niezliczoną ilość razy, wyobrażając sobie, że pewnego dnia sam znajdę się na siodełku i popędzę z rykiem w chmurze niebieskich spalin. Adam zakochał się, przestał jeździć na rajdach i motocykl sprzedał. A kiedy się ożenił, hełm podarował mnie. Powiesiłem go przy tapczanie, zaś po roku czy dwóch wyszło na jaw, że motocykle

zupełnie mnie nie interesują. Hełm został, bo budził podziw moich gości, no i jednak był jakąś częścią tego jasnego świata śmiałych mężczyzn i wspaniałych czynów, do którego pragnąłem dostać się za wszelką cenę. Inna sprawa, że raczej jako żeglarz niż motocyklista.

Lakier ma poobijany, naderwane pasy, szyba nieco porysowana. Trzy dni temu, po obiedzie, ukończywszy zmywanie naczyń, wróciłem do pokoju. A że tkwił we mnie jeszcze duch porządków poobiednich, zabrałem się do zmycia gąbką śladów psich łap na drzwiach mego pokoju. Pozostawały tam od roku, od czasu wizyty dwóch koleżanek, które przyszły, aby w imieniu trzeciej powtórzyć mi coś w rodzaju wyznania, ale dla dodania sobie odwagi przyprowadziły zabłoconego setera, który cały czas usiłował uciec z mieszkania. Poselstwo się nie udało, zostały tylko brudne smugi.

Umycie drzwi nie wyczerpało we mnie tego rzadkiego zapachu, począłem więc zwijać w paczkę stare czasopisma leżące od miesięcy, by wynieść je do kosza na makulaturę, a wreszcie spojrzenie moje padło na kask i zrozumiałem, że przyszedł czas, aby pozbyć się tego zakurzonego rupiecia. Zdjąłem go z gwoździa i obracałem w rękę, zastanawiając się, co z nim zrobić, podarować komuś czy po prostu położyć obok śmietnika, kiedy ogarnęła mnie nagła chęć włożenia go na głowę.

Pamiętam dokładnie to uczucie. To nie był ten bezmyślny odruch, z jakim wkładamy na głowę czapkę wychodząc z domu, albo ten, z jakim dla dowcipu wsuwamy na uszy cudzy kapelusz myśląc wyłącznie o tym, by się ukazać w przebraniu. Nie, tym razem wyraźnie zapragnąłem ten właśnie kask założyć.

Oburącz uniosłem go nad czoło. Drzwi były uchylone. Usłyszałem, jak do przedpokoju wchodzi koleżanka Zośki. Szczebotały, miały razem admiirować fotografię Valentina. Przeczytały o nim w „Przekroju” i przygotowały ołtarzyk ze zdjęciem wyciętym z tygodnika. Pomyślałem, że trzeba przymknąć drzwi, żeby nie zobaczyły mnie przechodząc do Zośki, ale chęć włożenia hełmu była tak silna, że nie mogłem tego odkładać ani na sekundę. Opuściłem go na skronie i w tej chwili moja siostra zajrzała do pokoju. Przez kilka sekund przyglądała mi się, podczas gdy ja, niby zahipnotyzowany, siedziałem bez ruchu. Zagryzła wargę i postanowiła widać nie zdradzać mnie, bo tylko stuknęła się znacząco palcem w czoło i znikła zamykając drzwi za sobą.

Kask opadł mi na uszy, oparł się na karku. Wtedy uświadomiłem sobie, że jest nieco inny niż dawniej. Przede wszystkim stał się niemal dwa razy cięższy, a z wnętrza znikła wyściółka. Gładka, metalowa czy plastikowa skorupa — co to jest, nie wiem do dzisiaj — zastąpiła gąbkę, lecz tak dokładnie pasowała do mojej czaszki, jakby stanowiła jej odlew.

Opuściłem szybę, zasłaniając całą twarz, i przekonałem się, że nie była już przezroczy-sta. Podrapane i nieco odkształcone plexi zamieniło się jakby w opalowy kamień. Sądziłem w pierwszej chwili, że zaszedł w nim samoczynnie jakiś proces chemiczny. Lecz teraz już wiem, że to co innego. Siedziałem z opuszczoną przyłbicą nic nie widząc, to znaczy nie wi-dząc pokoju, bo w samej osłonie coś osobliwego się działo. Przebiegały w niej jakieś drgające blaski, pulsujące światła i patrząc w nie z zaciekawieniem, zrozumiałem nagle, że przesuwają się i rozjarzają w rytmie mojego serca. Pod wpływem tego odczucia serce zabiło mi szybciej i mocniej zapulsowały skronie, a w następnym momencie zauważyłem, że przyspieszył się także rytm mglistej poświaty, i pojąłem, że to, co widzę, odbywa się nie na szybie czy we-wnątrz niej, ale w moim mózgu. Kiedy oglądamy obraz, zawsze mamy świadomość istnienia płaszczyzny, na której został namalowany. Zdajemy sobie sprawę z odległości oka od niej. A tu — jakbym został wessany w ekran czy raczej on wcisnął się we mnie. Te przesuwające się falami niczym zorza polarna, niczym falująca kurtyna blaski miałem jakby w głębi oczu, w mózgu, zajmowały mi całe pole widzenia, jak gdybym pośród nich się znalazł.

I wtedy wywołałem ten pierwszy obraz: wyścig motocyklowy. Nikt mi go nie podsunął, nie narzucił. Była to moja własna myśl i z pewnością to ona spowodowała, że widzenie było takie, nie inne. Stało się to, gdy z hełmem na głowie cofnąłem się pół kroku i trafiłem na fotel. Przysiadłem na szerokiej skórzanej poręczy, aby wygodniej wpatrywać się w falowanie ekranu, i poczułem się trochę tak jak na siodelku motocykla. To okazało się dostatecznym bodźcem do wywołania obrazu, jaki ujrzałem.

Wydaje mi się ważnym stwierdzeniem, że od tej pierwszej chwili, jak i później, wszy-stko, co oglądałem, było zawsze wywołane przeze mnie, jakby na moje żądanie. Musiałem zapragnąć jakiegoś obrazu, jakoś go sobie wstępnie wyobrazić, aby kask mi go dostarczył z

całkowitą wiernością, tak że właściwie należałoby mówić o przeniesieniu mnie w inne, prawdziwe otoczenie, gdyby nie to, że z pewnością nie opuszczałem swojego pokoju.

Znalazłem się na trasie wyścigu, zobaczyłem przed sobą porytą kołami gliniastą ziemię, przesuwaną się błyskawicznie i dwie grube rękawice oparte na szerokiej kierownicy. Zaraz jednak pojąłem, że dłonie nie należą do mnie, nie czułem najmniejszego drgania, choć wi-działem, że kierownica szarpie się i skacze na nierównościach terenu. Patrzyłem jakby sponad ramienia zawodnika, jakby zawisając nad nim i nieco od tyłu.

Ten obraz tak był żywy i jaskrawy, iż w żadnym razie nie mogłem go uważać za moje własne wyobrażenie wywołane z pamięci. To było więcej niż obraz kinowy, to była rzeczywi-stość! Zerwałem kask z głowy, o mało jej nie uszkodzając, i stwierdziłem, że znajduję się w moim pokoju, że słyszę śmiechy dobiegające przez ścianę i łoskot tramwaju na ulicy. Niewie-le myśląc, znowu wsadziłem hełm na głowę.

Od razu ujrzałem przed sobą plecy kilku motocyklistów. Czarne numery między łopa-tkami, chorągiewki wyznaczające trasę, krzaki zakurzone i jakichś widzów w obłokach pyłu i spalin. W tej chwili zawodnik gnający przodem wpadł w kałużę i spod jego tylnego koła trysnęła mi wprost w oczy fontanna wody i błota. Odruchowo cofnąłem głowę, a może tylko pomyślałem o jej cofnięciu, i już stało się coś zdumiewającego — ten żywy obraz oddalił się ode mnie, czy też ja od niego, jak uniesiony potężną ręką lub jak to się dzieje, kiedy filmuje-my teleobiektywem „zoom”, płynnie zmieniającym ogniskową! Nagle znalazłem się o kilka-naście metrów z tyłu i zobaczyłem „mojego” motocyklistę. Miał numer 54. Przeszedł jak bu-rza przez błotniste rozlewisko i gnał wyprzedzając zawodników jednego po drugim. Wpadł na stromy podjazd i ramię w ramię z numerem 16, stojąc na wyprostowanych nogach, wpędzili swoje maszyny na szczyt pagórka.

Zaciekawiony, co to za wyścig, rozejrzałem się po okolicy, a ta natychmiast jakby zapa-dła się przede mną, pozwalając ogarnąć mi wzrokiem większy obszar. Zobaczyłem dwupasmo-wą autostradę i olbrzymi parking pełen samochodów, a przy nim rząd palm o postrzępio-nych koronach, więc od razu stało się jasne, że to nie w naszej części Europy. W pobliżu była meta, gromada widzów, stoliki,



kabiny szklane i wiele reklamowych napisów. Kiedy spróbo-wałem je odczytać, przybliżały się do mnie właśnie jak w teleobiektywie. Odczytałem: „Plus — nowy papieros podbija Wenezuelę”. Przyjrzałem się bliżej ludziom: czarne włosy i oczy, wielu mężczyzn z wąsikami, sygnety na palcach, bransoletki. Nie mogło być wątpliwości — znalazłem się w Ameryce Południowej.

Uderzyła mnie cisza tam panująca, odgłosy dochodziły jak zza szklanej szyby. Dotych-czas, oszołomiony, nie zwracałem na to uwagi, ale teraz jakby na żądanie dźwięki wybuchły z całą mocą. Ryczały silniki, wrzeszczeli ludzie. Wsłuchałem się w to, co wołał wysoki, ciemnoskóry mężczyzna z blizną na policzku.

— De Limongi! — krzyczał raz po raz otaczając usta dłońmi, jakby mógł go usłyszeć zawodnik odległy o pół kilometra, gdzie długim zboczem, między chorągiewkami, jak w narciarskim slalomie spadał ku mecie wśród kilku innych maszyn, otoczony chmurą piasku.

Te okrzyki oburzały jego sąsiada, który zaciskał tłuste pięści, podnosił nad głową i odpowiadał błyskając białkami:

— Nigdy! Palatti pierwszy!

Słuchałem tego uważnie, ochłonawszy już nieco po pierwszym wrażeniu. Przyszło mi do głowy, że to może osobliwy przypadek odbioru fal telewizyjnych bezpośrednio przez mózg. Zechciałem to sprawdzić i dlatego zapamiętałem nazwiska zawodników.

— De Limongi! — zachłystywał się mój widz, a Jergo sąsiad zamilkł, bo właśnie pięć-dziesiątka czwórka wpadła na betonowy pas i wyprzedzając trzy inne motory przefrunęła go dosięgając żółtej linii. Machnięcie kraciatą chorągiewką — i bieg był rozstrzygnięty.

W tej chwili poczułem pukanie w hełm i usłyszałem głos Eli:

— Usnąłeś w tym hełmie? Co ty wyprawiasz, Marek? Dlaczego nie kładziesz się spać?

Wystawiłem głowę, gdy Ela zniknęła już za drzwiami. Błysnęła mi myśl: może poprosić, by wsadziła głowę do kasku? Od razu tego zaniechałem. Oszołomiony i zdumiony jak nigdy dotąd w życiu, nawet na chwilę nie mogłem uwierzyć, by ktokolwiek inny potwierdził moje doświadczenie. Powtarzając pod nosem „De Limongi” i „Palatti”, zapisałem nazwiska na skrawku papieru i poszedłem do pokoju Huberta, gdzie w kącie bezgłośnie mrugał telewizor. Spojrzałem na ekran z nadzieją, ale szedł jakiś stary polski film. Tak więc obrazy, jakie oglądałem przed chwilą, nie mogły z

niego pochodzić. Zmieniłem kanał. Tam dobiegała końca lekcja niemieckiego. Nie zdołałem zbliżyć się do rozwiązania zagadki. Za to jasno pojąłem, że moje widzenie musiało być czymś zupełnie niezależnym od wszelkich transmisji telewi-zyjnych, bo obraz był mi posłuszny. Widziałem to, co chciałem, powiększały się te części obrazu, którym pragnąłem się przyjrzeć, dźwięki nasilały się wtedy, gdy chciałem je słyszeć. A więc pozostawały dwie możliwości: albo moja wyobraźnia zyskała niezwykłą siłę tworzenia obrazów fantastycznych, albo zyskałem zdolność oglądania na odległość obrazów pra-wdziwych.

Przeniósłem się czym prędzej do przedpokoju i złapałem za telefon. Adama, mieszkają-cego pod Warszawą, zastałem w domu. Spytałem, czy to możliwe, aby w tej chwili odbywał się w Wenezueli jakiś wyścig motocyklowy.

— Oczywiście — odparł. — Różnica czasu wynosi około sześciu godzin, to znaczy, że u nich jest dopiero popołudnie. A jeśli chcesz wiedzieć dokładnie, to zaraz sprawdzę — powiedział. — Czasem jeszcze kupuję „Sport Motorowy”, tam podają kalendarz imprez na świecie. — Odłożył na chwilę słuchawkę, po czym wrócił, szeleścił przez jakiś czas kartkami, aż wreszcie znalazł i przeczytał: — „Ostatni wyścig zaliczany do Przelajowego Pucharu Świata, odbędzie się 28 października na trasie w Anauco w Wenezueli...”

— To właśnie jest dzisiaj! — wykrzyknąłem.

— Tak — stwierdził spokojnie. — A co, zacząłeś się nagle zajmować wyścigami?

Wykręciłem się jakoś i spytałem:

— A kto twoim zdaniem wygra? De Limongi czy Palatti?

— O! — zdziwił się. — To znasz i nazwiska zawodników? Czekać, zaraz zobaczymy, co tu napisane... Według nich faworytem jest Palatti, jest jeszcze kilka nazwisk, ale żadnego De Limongi nie widzę. Zobaczymy jutro w gazetach. Coś powinno być w „Przeglądzie Sportowym”.

— Wygrał De Limongi — oznajmiłem z przekonaniem.

— Tak? Chcesz się może założyć? — Adam pamiętał jeszcze, że przed kilku laty prze-chodziłem jakby epidemię zakładów, zawierając je o byle głupstwo z nim, z Zośką czy prze-ciwno nim obojgu.

— Zgoda — odrzekłem.

— Ja stawiam na Palattiego, to stary mistrz — powiedział. — O

sto złotych.

— Przecięte! — potwierdziłem.

A następnego dnia, ledwo wróciłem ze szkoły, już zadzwonił Adam i oznajmił:

— Wygrałeś zakład. Pierwszy był w Anauco De Limongi, zupełnie nie znany zawodnik. Skąd wytrzasnąłeś to nazwisko?

— A tak jakoś... — nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— Forse możesz sobie zachować — dodałem. — Właściwie mi się nie należy.

— Dobrze! — ucieszył się. — A co — próbował się dowiedzieć — złapałeś wczoraj transmisję radiową na żywo?

— Coś w tym rodzaju — zgodziłem się i pożegnałem brata.

A więc jedno było wyjaśnione: hełm pozwalał mi oglądać wydarzenia odległe o tysiące kilometrów. Ba, nie tylko oglądać, ale i słyszeć, a i czuć także, jeszcze miałem w nosie gryzącą woń spalin.

Tego dnia Adam przyszedł do nas wieczorem. Nie słyszałem, jak wchodził, wpuściła go Zośka, kiedy byłem w kuchni. A gdy po chwili wróciłem do swojego pokoju, zmartwiałem. Adam stał na środku z kaskiem w dłoni, oglądał go i opukiwał.

— Coś ty z nim zrobił? — spytał. — Po co go tak przerobiłeś?

— A tak... — odparłem nie wiedząc, co powiedzieć.

— Nawet nie mogę go wcisnąć na głowę — spróbował, ale hełm oparł mu się na skroniach.

Odetchnąłem z ulgą. Nie mógł opuścić zasłony, a więc nie był w stanie odkryć jego osobliwych własności.

— Dopasowałeś na siebie? Masz zamiar jeździć?

— Nie — bąknąłem.

— I po co taki ciężki? — zważył go na dłoni. — Jakby wypełniony ołowiem.

— Skąd wiesz, że to ten sam? — niby to zażartowałem.

— Jasne, że ten sam! — odparł bez wahania. — Jest moje nazwisko, poznaję te zadrapania, a tu jeszcze ślady podpisu Ceccotto, który wycygałem od niego na zawodach w Anglii.

Tak upewniłem się ostatecznie, że zewnętrzna powłoka kasku jest ta sama, nie znam bowiem trzeźwiejszego człowieka od mojego brata. Jedynie wewnątrz zostało przerobione w tajemniczy sposób. Nie miałem pojęcia, kiedy się to odbyło. Dałbym głowę, że hełm nigdy nie

był zdejmowany z gwoźdźcia, na którym go powiesiłem przed kilku laty. Cóż, teraz, kiedy sam już potrafię robić podobne rzeczy, przestałem się temu dziwić, choć zasadnicza zagadka — kto? — nadal pozostaje nie rozwiązana.

Warto dodać, że dobrałem się do hełmu ze śrubokrętem, nożem, pilnikami, ale w żadnym miejscu, mimo użycia najbardziej brutalnych sposobów, łącznie z próbami stopienia plastiku płomieniem gazowym, nie zdołałem nawet naruszyć powierzchni. Materiał był utwardzony, szyba zamieniona na coś w rodzaju ekranu, ścianki pogrubione, z pewnością po to, aby pomieścić jakąś instalację — to wszystko pozwoliło mi jeszcze raz się upewnić, że nie śnię, lecz mam do czynienia z istniejącym naprawdę przyrządem, który wpadł mi w ręce przypadkiem czy też został umyślnie mi podłożony, co bardziej prawdopodobne. A zatem, że powinienem zacząć go używać, tak jak się używa roweru czy maszynki do mielenia kawy, bez zastanawiania się „jak to działa”.

Podjąłem serię doświadczeń w nadziei, że z czasem zagadka rozwiąże się sama. Posta-nowiłem z nikim nie dzielić się moim odkryciem. Podkreślam, że nie odczułem żadnego naci-sku z zewnątrz czy nakazu zachowania tajemnicy. Unikanie sensacji jest jak najbardziej zgo-dne z moim usposobieniem. Zawsze wolałem zachować dla siebie różne wiadomości, póki nie zostały dokładnie sprawdzone. Jestem też raczej małomówny i na ogół wolę samodzielne działanie od zbiorowego. Tak więc jeden jedyny nacisk, jaki odczułem w związku z tą spra-wą, była owa jakby narzucona mi chęć włożenia kasku na głowę. Ale było to konieczne, aby wszystko mogło się zacząć.

Przeprowadziłem doświadczenie po wyjściu Adama. Pomyślałem, że skoro już raz uda-ło mi się przenieść do Ameryki, trzeba spróbować jeszcze tam powrócić. Znowu w związku z Adamem i jego, innymi tym razem, kosmicznymi zainteresowaniami. Zawsze przynosił sensacyjne nowiny, a dwa czy trzy tygodnie temu opowiadał o jakiejś płycie grobowej z Meksyku, pochodzącej z czasów przed przybyciem Hiszpanów, na której znajduje się rzeko-mo płaskorzeźba kosmonauty w skafandrze. Nikt w to Adamowi zbyt nie uwierzył. Po dłuższej dyskusji Hubert, już zirytowany, począł szperać po półkach, znalazł książkę o Me-ksyku, a w niej fotografię z Palenque.

Niewiele niestety było na niej widać. Ów „kosmona-uta” był to mężczyzna siedzący na jakimś dziwnym fotelu czy na tronie, głęboko pochylony do przodu, z piętą lewej nogi opartą na czymś w rodzaju pedału. Dłońmi manipulował jakby na „pulpicie sterowniczym”, a przed twarzą miał jakąś dziwną aparaturę, w którą się wpa-trywał. Jego „skafander” — było to po prostu obcisłe ubranie, z mankietami na kostkach nóg i przegubach dłoni.

Hubert przekonywał, że rację mają chyba ci archeologowie, którzy twierdzą, że „stoj-nie ubrana postać spoczywa na wyobrażeniu Ziemi, nad nią widnieje Drzewo Życia i inne symbole, a całość ma znaczyć, że istota ludzka znajduje się między życiem i śmiercią”. Niestety, zdjęcie pokazywało tak mały wycinek rzeźby, że nie mieściło się na nim ani Drzewo Życia, ani symbol Ziemi.

Ale teraz z pomocą kasku mogłem przecież zobaczyć całą płytę w naturze i sam ocenić, co przedstawia. Postanowienie zapadło. Nie pamiętałem jedynie, gdzie jej poszukiwać. Wemknąłem się więc jeszcze raz do pokoju Huberta i wyniosłem ów tomik o Meksyku.

Płyta grobowa pochodziła z Palenque, przy granicy Gwatemali, a została odkryta w 1952 roku w krypcie pod piramidą, w ruinach dawnego miasta Majów. Zerknąłem na mapę, utrwaliłem sobie obraz Zatoki Meksykańskiej z półwyspem Jukatan i Palenque u jego nasady, w pobliżu charakterystycznego meandru rzeki Usumacinta.

Chwilę potem, już w kasku na głowie, patrząc w opalizujące światło pełzające po osłonie, przywołałem w wyobraźni kształt Ameryki. Zdawało mi się bowiem, że to może być lepszy sposób na wskazanie kaskowi, o co mi chodzi, niż na przykład powtarzanie w myśli nazwy miejscowości. Sposób zdał egzamin — ujrzałem przed sobą Amerykę.

Znałem dobrze barwne zdjęcia wykonane z wysoka, a teraz sam patrzyłem na Ziemię z kosmosu. Powtarzam, co już raz napisałem: nie widziałem żadnego ekranu, nic, co by mnie oddzielało od tego obrazu. Miałem go w swoim mózgu, tak doskonały i czysty, jak przekazywany przez moje oczy widok, kiedy wstaję rano i oglądam z mego okna jaskrawo oświetlony słońcem skwer przy rogu Puławskiej. I gdyby nie to, że wyraźnie czułem pod sobą swój fotel i poręcze pod łokciami, pewnie bym krzyknął ze strachu, tak silne i doskonałe było złudzenie zawieszenia w przestrzeni.

Środek kontynentu przesłaniała warstwa białych jak zwałniona

piana obłoków. Lecz Meksyk, z wyraźnie zarysowanym Jukatanem, widziałem niby na dłoni, odcięty ostro od błękitnego morza. Zapragnąłem obejrzeć dokładniej tę część lądu i obraz się przybliżył.

Szaroniebieska mgiełka wisiała nad dżunglą pokrywającą półwysep. Wydało mi się także, iż widzę już rzekę — cienka kreska biegła zawiłym wzorem w zielonkawej selwie.

Wtedy zaszło coś, czego w pierwszej chwili nie umiałem sobie wytłumaczyć: w polu mego widzenia ukazał się satelita. Nie mogło być co do tego najmniejszej wątpliwości. Szedł z północy na południe, jak później zrozumiałem, po orbicie polarnej, przechodzącej nad obu biegunami. Sunął w odległości kilkuset metrów ode mnie, niżej, z dużą szybkością, przesła-niając kolejne fragmenty Ziemi. Podobny był do ptaka o pękatym tułowiu. Wyrastały z niego, jak skrzydła, smoliście czarne płyty baterii słonecznych. Na srebrzystym kadłubie widniały czerwone litery CCCP i gwiazda. Czy mogłem dłużej w to wątpić, że kask ukazywał mi obrazy prawdziwe w każdym szczególe?

Wywołałem kolejne przybliżenie myśląc o meandrze rzeki, a obraz jakby wybuchł pode mną, począł się rozbiegać, uciekać na boki, rozmazywać, tak jakbym spadał z niesłychaną szybkością ku wybranemu punktowi. Zawisłem nad rzeką i torem kolejowym. Spodziewałem się niebieskiej wody, lecz pasmo wijące się pośród kipiących wałów listowia było żółtobru-natne, miejscami bursztynowe, tam gdzie z głębi nurtu przeglądały piaszczyste łąchy.

Wędrując spojrzeniem wzdłuż toru biegnącego przecinką, szybko odnalazłem miaste-czko otoczone lasami, a kilka kilometrów od niego otwartą przestrzeń i na niej piramidy. Zbliżyłem się do nich. Wyglądały jak wyniosłe kopce pokryte trawą i gęstwiną krzaków. Kilka, oczyszczonych z roślin, pięło się stopniami, a na ich szczytach tkwiły oślepiająco jasne mury świątyń. Błyszczały na tle wzgórz wyższych od nich i porośniętych dżunglą. Widziałem kiście kwiatów w gęstwinie i, po raz pierwszy w życiu, całe sieci lian oplatających drzewa. Stadka szafirowych ptaków przelatywały na tle ciemnej zieleni.

Świątynia Napisów niewiele różniła się od zdjęcia w książce. Podobna nieco do bunkra z pięcioma bramami, tkwiła na oczyszczonej z ziemi, wielostopniowej piramidzie. To we-wnątrz niej odkryto tajemniczą płytę.

Wpatrzyłem się w tę piramidę. Poczęła rosnać przed moimi

oczami, dostrzegałem już spojenia głazów i źdźbła trawy, chropowatą, rozjarzoną blaskiem powierzchnię wapienia. Aż nagle kolor się odmienił. Jakby zaszło słońce. Stał się zielonkawoszary. Pojąłem, że oglądam już wnętrze kamiennej budowli, kolejne warstwy ciosów, ciemne linie spojeń. Nieznane pro-mienie przenikały skałę, aby mi ukazać piramidę w przekroju.

Otworzyła się krypta. W tej zielonkawej poświacie, bez półtonów i cieni, oglądałem ją niby na jednobarwnej fotografii. Ale nie była to fotografia. Dostrzegłem ruch. Z jakiejś szczeliny w stropie spadały krople i rozpryskiwały się na płycie sarkofagu. To była właśnie płyta, o którą mi chodziło. A więc jedno stało się pewne: naprawdę istniała, z ową charakterystycznie pochyloną postacią pośrodku. Szeroka ponad dwa, długa na cztery metry, pokryta płaskorzeźbą. Oto, co ujrzałem po krótkim wpatrywaniu się w wyraźnie i głęboko ryty wizerunek.

Przedstawiał jakby pękatą butelkę od mleka w podłużnym przekroju. Siedział w niej człowiek zwrócony twarzą ku szyjce. Tam gdzie się ona zwężała, tkwił, żywcem przeniesiony z rysunków technicznych, przekrój uzwojenia, coś, co najbardziej przypominało mi elektro-magnes: rdzenie owinięte drutem, połączone kablami. Jedno z tych urządzeń, wysunięte daleko do przodu, wystawało z szyjki. Przypominało to antenę albo jakiś rodzaj broni.

Za oparciem fotela znajdowała się przegroda oddzielająca kabinę od masywnych bloków wydrążonych kanałami — całość otaczała komora, która mogła być zbiornikiem paliwa. Takie tłumaczenie podsuwały cienkie linie zbiegające się ku otworom sześciu krótkich, grubych rur, niby smugi płynu. Rury przebijały tylną ściankę, podstawę „butelki” Tryskał stamtąd płomień tak wyryty, jak rysuje się zwykle wylot gazów z silnika odrzutowego.

Człowiek miał na głowie płataninę kabli czy elektrod. Obie dłonie w takim ruchu, jakby palcami obejmował pokrętła czy lewarki na ukośnym pulpicie. Im dłużej wpatrywałem się w płaskorzeźbę, tym bardziej stawało się dla mnie oczywiste, że patrzę nie na jakieś symboliczne przedstawienie ludzkiego losu, ale na techniczny rysunek. Rzeźbiarz przekuł go w kamień, by utrwalić dla przyszłych pokoleń informację, którą one zdołają, być może, lepiej zrozumieć niż on.

Ja, posiadacz kasku, wątpliwości już nie mam, co ten przekaz

oznacza.

Zakończywszy eksperyment położyłem się spać około północy. Całe to „widzenie” miało charakter tak prawdziwy, tak zwyczajny w gruncie rzeczy, że ostatecznie mnie przekonało o czysto technicznej naturze moich doświadczeń z kaskiem. Odrzuciłem wszelką myśl o zjawiskach paranormalnych, hipnozie czy telepatii, bo i to przychodziło mi do głowy. Powiedziałem sobie, że wpadło mi w ręce urządzenie równie mało tajemnicze jak teleskop dla astronoma. Inna sprawa, że ja nadal nie wiedziałem, na jakiej zasadzie działa i dlaczego znalazło się w moim pokoju.

Próbowałem usnąć. Nazajutrz czekała mnie na pierwszej godzinie klasówka z matematyki. Niestety, fantastyczne myśli kłębiły mi się pod czaszką i nie skutkował nawet mój zwykły sposób: wyobrażenie sobie, że nogi mam zanurzone w płynącej wodzie, pieniącej się wokół kolan. Zerwałem się na koniec z postanowieniem zrobienia jeszcze jednej próby. Było ciemno, w mieszkaniu panowała cisza. Nie zapalając światła sięgnąłem po kask. Przez okno widziałem reflektory jadących ulicą w odległości kilkuset metrów samochodów. Tam postanowiłem się przenieść i dokonałem tego, ledwo spuściwszy na twarz zasłonę.

Tkwiłem za ramieniem kierowcy. Jarzyły się zegary, czerwona wstążka szybkościomierza dosięgała siedemdziesiątki. Wydało mi się to nieco nazbyt dużo na słabo oświetlonej, choć pustej Puławskiej, zwłaszcza że wóz zbliżał się do zakrętu i skrzyżowania z Idzikowskiego. Prowadził mężczyzna bez płaszcza, lecz w kapeluszu. Obie jego dłonie widziałem wyraźnie, obciążone rękawiczkami spoczywały na kierownicy. Paliły się tylko światła postojowe wozu. Kierowca mamrotał coś do siebie, miałem wrażenie, że jest nieco podпиты. Mimo woli pociągnąłem nosem i chyba wyczułem lekki zapach alkoholu. A w następnej chwili dokonałem przełomowego odkrycia.

Na zakręcie, pięćdziesiąt metrów przed wozem, ukazał się jakiś cień. Nie wiedziałem, drzewo, czy przechodzień szykujący się do zejścia na jezdnię. Odcinek był wyjątkowo ciemny. Gdybym był zwykłym współpasażerem, pewnie bym powiedział coś w rodzaju: „może zapalić reflektory?” Mężczyzna nie miał takiego zamiaru, najspokojniej gnał w stronę mającą przeszkody. Widział lepiej ode mnie? Mój niepokój zamienił się w wyraźne pragnienie



rozświetlenia ulicy snopem światła. I wtedy stało się. Reflektory auta zapaliły się samo-czynnie — jak mi się wówczas wydało. Zobaczyłem blade oblicze jakiegoś człowieka chwiejącego się na jezdni w odległości metra od krawężnika. I już przemknęliśmy obok. Kierowca, sam niezbyt trzeźwy, tego już byłem pewien, nie przejął się tym zupełnie. Natomiast zdumiała go samowola auta.

— Co jest? — mruknął i sięgnął do wyłącznika, gasząc reflektory. No, ale teraz ja już skojarzyłem wszystko i natychmiast musiałem się przekonać, czy się nie mylę. Spojrzałem na dźwigenkę i wyobraziłem sobie, że się przesuwą ku dołowi. Dwie sekundy oczekiwania i uczyniła to — opadła na moich oczach z cichym stuknięciem, a reflektory znowu zapłonęły.

— Do diabła! — wybełkotał kierowca zirytowany. — Mówię nie, to nie! — i znowu wyłączył światła.

Gdy je ponownie zapaliłem, pogroził:

— Ja cię zaraz naprawię... — wyłączył i nie zdjął już palców z dźwigenki. Nie stano-wiło to dla mnie żadnej przeszkody. Moja myśl opuszczała ją razem z palcami, choć wściekał się na mechaników i począł coś mętnie opowiadać o zabudowie nieciągłej w odległości pię-tnastu metrów od jezdni.

Zostawiłem go tam, na drodze do Pyr, myślę, że szczęśliwie dojechał do domu. Sam jeszcze stałem przed oknem mego pokoju słysząc, jak zegar u sąsiada wybija pierwszą w nocy, i oszołomiony odkrytą potęgą. Kask dawał mi siłę rzeczywistego materialnego działania na odległość.

To było wczoraj. Dziś kończę te wstępne notatki, od jutra będę prowadził je na bieżąco. Dawno już wyszedł gość rodziców, Hubert zaglądał dwa razy, prosząc, żebym się położył. Obiecałem, że zaraz to zrobię. Chcę jednak opisać jeszcze dzień dzisiejszy.

Po zbyt krótkim śnie ledwo dałem się zbudzić dzwonekowi budzika. Wstałem z gipsową głową. Umyłem się, wróciłem do pokoju, by się ubrać, ruszyłem do kuchni na śniadanie i oprzytomniałem dopiero wtedy, gdy mleko z butelki wylane przez mnie do czajnika wykipia-ło fantastyczną fontanną przez dziobek. Śniadanie było jednak gotowe nie później niż zazwy-czaj, a Hubert, który miał dziś odwiedzić mnie do szkoły, jeszcze odbywał w przedpokoju swoją zwykłą poranną, pięciominutową stójkę na głowie,

dzięki której, jak twierdzi, jasnością umysłu przewyższa swych współpracowników. Spod krawata zwisającego mu na usta powieźdzał, kiedy przemykałem do swego pokoju:

— Postałbyś też chwilę, przyda ci się przed tą klasówką.

— Spróbuję... — odparłem niejasno i zniknąłem za drzwiami. Nie stanąłem jednak na głowie nie dlatego, żebym nie doceniał działania tej pozycji na umysł i samopoczucie, w końcu od ponad siedemnastu lat byłem synem mego ojca, ale w tej chwili miałem coś ważniejszego do zrobienia. Wieczorne przekomarzenie się z zawianym kierowcą rysowało mi się obecnie tak mgliście, że zapragnąłem natychmiastowego dowodu na potęgę działania kasku.

Potrzeba mi było pół minuty, aby z ekranem na oczach zobaczyć trawnik za domem i trzy młode świerki syberyjskie posadzone tej wiosny i aby ciemnozielonym igłom środkowe-go z nich nadać jaskrawy, pomarańczowy, fluoryzujący kolor. Kask powędrował na ścianę, a ja wróciłem jakby nigdy nic do kuchni, gdzie zjedliśmy śniadanie.

Zeszliśmy potem na dół. Świerk był pomarańczowy. Stała przy nim sąsiadka z parteru, głośno ubolewając nad ludzkim barbarzyństwem. Spieszyliśmy się bardzo, więc Hubert tylko rzucił:

— Kto to mógł zrobić?

Samochód ruszył i przez tylną szybę widziałem przez chwilę to płonące drzewo. W tej chwili widziałem w tym zdarzeniu jedynie potwierdzenie mojego odkrycia. Jechałem do szkoły pełen triumfalnych myśli.

Wracalem tramwajem raczej przygnębiony. Z trzech zadań, które dostaliśmy do rozwiązania na klasówce, z dwoma uporałem się jako tako. Trzeciego nie mogłem w ogóle ruszyć. Tymczasem Baliński, dobry matematyk, z którym siedzę w ławce, po skończeniu dwu pierwszych nad tym trzecim też się potwornie długo zastanawiał. Przez dwadzieścia minut dłuwał w uchu i drapał się pod kolanem. Na siedem minut przed dzwonkiem zaczął wreszcie pisać, tak szybko, iż ledwo nadażyłem ze ściąganiem. A kiedy ostatnie równanie przeniosłem do swojego zeszytu, przyplacając to bólem mięśni ocznych, utrzymujących gałki w nienaturalnym położeniu, Baliński skreślił wszystko jednym ruchem, przewrócił kartkę i jął pisać od nowa. Niestety, w tej chwili profesor stanął nam nad głowami i nie mogłem nawet wyrwać kartki. Schylałem się nad nią bezmyślnie, a Baliński

skończył zadanie równo z dzwonkiem. Oddaliśmy zeszyty, ja z głębokim przekonaniem o nieuchronności dwóci.

Świerk przed domem nie zmienił wprawdzie swego płomiennego koloru, ale przestał już być świerkiem. Dość było tych kilku godzili, aby większość szpilek opadła. Reszta sypała się przy lada powiewie wiatru, tworząc na trawie jaskrawy wał wokół usychającego kikuta, w jaki zmieniło się drzewko.

Mali chłopcy, którzy zdążyli już roznieść fluoryzujące szpilki po całym podwórzu, wyjaśnili mi, że ktoś musiał podlać świerk wiadrem farby, a roślina wchłonęła ją przez noc. Byli raczej zgodni co do tego, tylko jedna z dziewczynek oznajmiła, że to nieprawda, że chodzi o bakterie, jej tatuś zna się na tym, rośliny też chorują. Chłopcy zakrzyczeli ją i odwrócili się z pogardą, ale na wszelki wypadek dokładnie otrzepali ręce.

Garstkę jaskrawych igieł zastałem na stole w pokoiku przy kuchni, gdy siadaliśmy do obiadu z Elą i Zośką, Hubert wracał później z biura.

— Po coś to przyniosła? — spytałem podejrzliwie, choć jakiegokolwiek poczucie winy jeszcze się we mnie nie obudziło. W gruncie rzeczy byłem zadowolony, że wszyscy dokoła jakby potwierdzają w ten pośredni sposób zyskaną przeze mnie moc działania.

— To nie ona, to ja zabrałam — odezwała się Ela nalewając nam zupę. — Sąsiadka z parteru twierdziła, że ktoś opylił świerk farbą.

— Aha! — zawołała Zośka. — Tata też ma taką farbę w aerozolu, wystarczy nacisnąć i już pryska.

— Ale to było coś innego — przerwała jej Ela. — Zobacz... — zwróciła się do mnie widząc, że trzymam kilka szpilek na dłoni i przyglądam się im z bliska.

— One nie są pomalowane. To po prostu chlorofil zmienił kolor, a tym samym przestał być chlorofilem, bo ma już inny skład chemiczny. Albo zaszła jakaś dziwna reakcja wytwarzająca barwnik.

Ela jako chemiczka z łatwością rozwijała temat.

— Może to być też sprawa bakteryjna — ciągnęła po chwili. — Jest taka bakteria żyjąca w słonych wodach, używająca do fotosyntezy zamiast zielonego barwnika, purpurowy, z grupy rodopryny. Zabioreę to do instytutu, może ktoś się zainteresuje.

— Szkoda takiego ładnego świerczka! — westchnęła Zośka. —

Po co go zabili?

— A pamiętasz te kałamarze? — przypomniała Ela sprawę, która wzburzyła całą kamienicę.

Zaraz po odmalowaniu naszego domu, przed rokiem, ledwo robotnicy zdjęli rusztowania, chłopcy chodzący do pobliskiej szkoły wytrzasnęli skądś butelki z atramentem i rzucając je z odległości dziesięciu metrów zaczęli rozbijać na świeżo pomalowanym tynku.

Tak więc — zostałem porównany do bezmyślnych wandalii. Kazało mi to spojrzeć nieco odmiennie na posiadaną władzę. Mogłem to przemyśleć w spokoju, gdyż w kuchni rozpętała się burza i z drugim daniem na talerzu uciekłem do siebie.

Zośka po łyknięciu pierwszych łyżek zupy ocknęła się i stwierdziła, że to barszcz, po czym stanowczo odmówiła zjedzenia reszty twierdząc, że będą za nią latały zielone muchy, bo skóra wydziela po burakach wabiący je zapach. Tak twierdzi jej koleżanka, która przedtem mieszkała na wsi i ma doświadczenie w tych sprawach. Nic jej to nie przeszkadzało, że późną jesienią znalezienie w Warszawie zielonej muchy nastęczyłoby niemałych trudności.

A jednak śmierć tego niewinnego drzewka nie była całkiem niepotrzebna. Kto wie, czy nie zapobiegła wielu innym zniszczeniom, których mógłbym dokonać? Pomogła mi odkryć pewną niekonsekwencję w rozumowaniu, zresztą łatwą do usprawiedliwienia moim oszołomieniem.

Otóż, choć uważałem już za pewne, że kask jest mniej lub bardziej zwykłym aparatem, nadal sądziłem, że jego działanie jest takie, jak czarodziejskiej pałeczki wróżek w bajkach. Że zmiany są w jakiś sposób niematerialne, że są czymś w rodzaju złudzenia, dotyczą tylko jakby obrazu przedmiotów, a nie ich samych. A tu miałem jak na dłoni podany dowód, że tak nie jest. Drzewo, aby przybrać kolor czerwony, musiało zmienić zawartość swoich komórek, przebudować ich skład chemiczny. Zrozumiałem, że odtąd już nie będę mógł czytać bajek ze spokojem dziecka, którego nie dziwi zamiana człowieka, choć złego, w jaszczurkę... Zabawa z kaskiem nie była tak niewinna. I czy w ogóle można to nazwać zabawą? Uruchamiałem procesy, które mogły zabić roślinę, a więc zapewne także zwierzę i człowieka. Musiałem sobie zdać sprawę, że wszelkie procesy odbywające się na moje polecenie będą zgodne z prawami fizyki, a więc projektując jakieś większe prace, a już miałem setkę pomysłów, muszę się liczyć

z następstwami.

Pojąłem, że w pewnych przypadkach moje najlepsze zamiary mogą się skończyć tragi-cznie. Na przykład, gdybym zechciał usunąć przechodnia tuż sprzed maski pędzącego samo-chodu. Tak czy inaczej musiałbym spowodować jakieś jego popchnięcie czy pociągnięcie, aby ciężkie ciało przesunąć w przestrzeni. A to popchnięcie, dokonane w krótkim czasie i z niezbędną siłą, mogłoby się okazać dla niego równie zabójcze, jak uderzenie samochodu.

Odrobiłem lekcje, potem dwie godziny spędziłem w pozycji poziomej, na tapczanie, z rękami pod głową, patrząc w sufit i rozmyślając. Coraz wyraźniej rysowało mi się przekonanie, że stałem się posiadaczem niewiarygodnie potężnego narzędzia, że jestem, być może, najwspanialej wyposażonym człowiekiem na Ziemi... Kask — chociaż niewiele jeszcze o nim wiedziałem — dawał mi olbrzymią władzę, mógł też stać się w moich rękach nieodpartą bro-nią.

I czy nie jest to czymś nieopisanie wspaniałym, że znalazł się w moim posiadaniu! Byłem pewny w tej chwili, że nie ma człowieka, który użyłby go bardziej rozsądnie i celowo niż ja to uczynię. Czy tylko przypadkowo stałem się jego właścicielem? W to nie wierzyłem ani przez chwilę. Nie był to przedmiot znaleziony na ulicy, w tramwaju. Zewnętrzna część kasku wisiała w moim pokoju od dwóch lat. Jeśli właśnie do niej wbudowano tę całą aparaturę, to na pewno z ustalonym z góry założeniem, że to ja, Marek, będę z niej korzystał. A więc mnie wybrano...

Zapewne byłem obserwowany od dłuższego czasu. Zacząłem przypominać sobie kolej-ne wydarzenia ostatnich tygodni, które by szczególnie dobrze miały świadczyć o mojej inteli-gencji i charakterze. No cóż, wszystko było — na poziomie! Jeśli nie liczyć drobnych po-tknięć. Właśnie...

Poseł! Teraz sobie przypomniałem. Czyżby to miało odegrać jakąś rolę? Grono nauczy-cielskie było zdania, że się pograżyłem, a ze sobą i całą szkołę. Odwiedził nas poseł, pra-wdziwy, zasiadający w Sejmie, wybrany z naszej dzielnicy. Kilka najstarszych klas zgromadzono w jednej sali. Rozmawialiśmy z nim. Wyjaśniał nam problemy polityki światowej i drogi prowadzące do zdobycia władzy w różnych krajach. Na koniec zadał kilka pytań.

„Powiedz ty mi, bracie — zwrócił się wprost do mnie — kogo byś uważał za naprawdę wielkiego męża stanu? Może kogoś

wymienisz?”

Przez chwilę nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Nazwiska uleciały mi z głowy, a te, które w niej zostały, z pewnością nie były właściwe. Wreszcie, by nie zwlekać zbyt długo, odpaliłem wśród głuchoj ciszy:

„Kogoś, kto sam ustąpiłby stanowiska lepszemu od siebie!”

Dzisiaj jestem przekonany, że nie była to taka najgorsza odpowiedź.

Spostrzegłem, że kilka razy w tych notatkach napisałem: obserwowano mnie, wybra-no... Wreszcie trzeba jasno postawić pytanie: kto? Ktoś się przecież za tym kryje. Piszę o tylu innych sprawach, a przecież od trzech dni moje myśli gorączkowo krążą wokół tego pytania. Myśląc o czym innym, podświadomie szukam na nie odpowiedzi.

Nietrudno ją znaleźć w gruncie rzeczy, choć trudna jest do przyjęcia. Tak mi się wyda-wało, dopóki nie uświadomiłem sobie raz jeszcze całej niezwykłości kasku, a wówczas wska-zanie jego twórców stało się zupełnie proste. Mam różne argumenty na poparcie tego prze-konania. Czy jakikolwiek wynalazca lub grupa wynalazców w naszym kraju czy na świecie, zbudowawszy urządzenie o takiej potędze działania, mogłaby je przekazać w ręce pierwszego z brzegu, takiego jak ja chłopaka? Samo przypuszczenie jest absurdalne. W dodatku w dzi-siejszym świecie! Może kiedyś Edison, czego zresztą nie zrobił, mógł, gdyby zechciał, ofiaro-wać nowo wynalezioną żarówkę na przykład synowi swoich sąsiadów, ot tak, przez sympatię. Wtedy tylko on o tym decydował, wynalazek był jego własnością. Ale obecnie? Przy wszy-stkich tajemnicach służbowych, państwowych, sekretach zawodowych, patentach, dochodach, szpiegostwie przemysłowym, wykradaniu odkryć, tajemnicach obronnych i wyścigu zbrojeń! Nie do przyjęcia. Nie mówiąc już o tym, że nigdzie na świecie nie skonstruowano jeszcze czegoś podobnego. To nie ulega wątpliwości. Poza Uri Gellerem, który na ekranach TV w zachodniej Europie zginał telepatycznie widelce, nikt nie wymyślił sposobu na zdalne przełą-czenie dźwigni bez użycia radiowego robota lub wywołanie skomplikowanego procesu chemicznego. Ba, na razie ledwo zaczyna się mówić o bezprzewodowym przesyłaniu energii przy pomocy mikrofal i laserów. No, a jeśli chodzi o wytwarzanie obrazów wprost w mózgu, to dotychczas nie udało się ominąć pośrednictwa oczu. Chyba że używa się młotka, ale tym sposobem

można zobaczyć co najwyżej gwiazdy. Aha, i ktoś tam drażni prądem elektrycznym ośrodek przyjemności w mózgu szczurów, które z rozkoszy przymykają powieki. Ale czy cokolwiek przy tym widzą, tego się prędko nie dowiemy.

Zupełnie inaczej natomiast sprawa zaczęła wyglądać, gdy założyłem, iż ma ona pochodzenie pozaziemskie. Powiedzmy, że ktoś o całe niebo potężniejszy od nas, ktoś, kto rozwija cywilizację nie jak my od marnych kilkunastu tysięcy lat, ale od miliona czy nawet stu milionów, obserwuje nas, dostrzega nasze kłopoty, marzenia o lepszym życiu, pragnienie wszy stkich bez wyjątku ludzi osiągnięcia spokoju i bezpieczeństwa — i postanawia nam dopomóc.

Wie, że nasza świadomość musi być przebudowana stopniowo, że zbyt szybkich zmian byśmy nie znieśli. Musimy je więc przeprowadzić sami. Daje nam w tym celu narzędzie, takie, którego będziemy mogli użyć, nie przerastające naszych możliwości umysłowych i fizycznych. Komu je powierzy? Komuś, kto je użyje dla dobra wszystkich. Kto nie jest ministrem wojny szykującym napaść na sąsiedni kraj, kto nie jest przywódcą partii walczącej o władzę, kto nie jest bankierem zajęтым tylko gromadzeniem złota. A nawet nie komuś, kto jest zwykłym, szarym człowiekiem, ale już zgębionym przez życie, marzącym co najwyżej o własnym samochodzie, a na co dzień o kuflu piwa, o fotelu przed telewizorem i wygranej w brydża.

Kto jest ponad to? Jeszcze wolnym, z pomysłami, zapałem, zdolnym zapomnieć o sobie, nawet się zakochać, jeszcze pragnącym czegoś dokonać poza zarabianiem pieniędzy i gromadzeniem przedmiotów? Najbardziej — młodzi ludzie! A wybór spośród nich to już prostsza sprawa. Sam potrafiłbym wskazać kilku. Może lepszych ode mnie? Ale stało się. Mam ten kask. Wisi na ścianie naprzeciw mnie i to ja mam go używać!

Jeden jedyny raz tego dnia wziąłem kask do ręki. Uświadomiłem sobie bowiem, że pomiędzy reakcjami kasku a moimi rozkazami występuje dość znaczna zwłoka, do dziesięciu sekund, jak mogłem ocenić na oko. Nazbyt jednak krótka, żeby sygnały zawierające informacje i przesyłana energia, poruszające się co najwyżej z szybkością światła, mogły pokonać drogę do innego układu planetarnego. Jeśli tak, to ośrodek wykonawczy, umożliwiający dzia-

łanie kasku, musiał znajdować się w pobliżu Ziemi. I właśnie z pomocą kasku...

Zasunąłem przyłbicę. Nie miałem zamiaru oglądać naszych, ziemskich sputników, więc od razu wyobraziłem sobie Ziemię wielkości pomarańczy. Z tej odległości nie mógłbym już chyba zobaczyć żadnego z naszych satelitów. I stało się coś dziwnego.

Ziemia zjawiała się wprawdzie, lecz — wbrew poleceniu — wielokrotnie większa. Błękit-nawy krąg zajmował wielką część pola widzenia. Za jaśniejącą krawędzią odcinała się smoli-sta, czarna głębia Przestrzeni i wprasowany w nią krążek księżyca. Jeszcze nie pojmując uczyniłem wysiłek, aby odsunąć oba globy od siebie i, tak jak zamierzałem, patrzeć na nie z daleka. Nie udało mi się, obraz się nie zmienił. Aż w końcu pojąłem dlaczego. Nie było to potrzebne. I stało się dla mnie jasne, że odczytano i zrozumiano moje pragnienie i moją potrzebę upewnienia się o naturze wydarzeń: niemal w środku obrazu, częściowo na czarnym tle nieba, zachodząc na tarczę Ziemi, dryfowała z wolna jasna plama. Nie był to obłok, jak wydało mi się w pierwszej chwili, lecz dziura w obrazie, owalna plama, na której nie widniało nic, prócz tła. Rozpoznałem w tym miejscu owe opalizujące falowania, jakie przebiegały po osłonie kasku, zanim pojawił się obraz. Wyglądało to tak, jakby na olejnym obrazie ktoś zmył trochę farby, odsłaniając płótno pod spodem.

Jeśli spodziewałem się ujrzeć obcy statek w tym miejscu, doznałem zawodu. Lecz czy wymazywano by część wizji, gdyby nie było tam nic do ukrycia? Nie potrzebowałem innego dowodu! Widać istniała przyczyna, dla której aż tak oględnie dano mi do poznania, że się nie myliłem.

Doprowadziłem więc notatki do obecnej chwili. Odtąd będę się starał sporządzać je na bieżąco, każdego dnia, co pozwoli mi notować większą ilość szczegółów.

## 2.

Dziś zbudziło mnie słońce zatapiające cały pokój. Otworzyłem oczy, nim odezwał się budzik, i leżałem jeszcze przez chwilę,



przeciągając się rozkosznie i w radosnym nastroju. Cieszyłem się, że prysnęły bez śladu niepokoje, z jakimi usypiałem.

W nocy ten niespodziany dar wydał mi się nagle ciężarem. Złakłem się, że zostaję wciąż-gnięty w coś, czego nie rozumiem, że zmuszony do jakichś działań wbrew własnemu przekonaniu, nie będę umiał się już z tego wyplątać. Lecz teraz to wszystko minęło wraz ze światłem dziennym. Niepotrzebne wydały mi się obawy. Czy dano by mi kask do ręki, gdyby zamierzano stosować jakiś przymus? Na pewno nie — odpowiedziałem sam sobie. Nie trzeba by wtedy pośrednictwa nikogo z ludzi, działano by wprost na nasze umysły i na przedmioty.

Zerknąłem w stronę kasku. Wisiał tam gdzie zawsze. Teraz byłem pewien, że nawet jeśli go nie dotknę przez dzień, dwa, tydzień, będzie tam czekał i nic się nie stanie, nie zmieni. Zyskałem skądś pewność, dodającą mi takiej lekkości tego rana, że nie podlegam żadnemu przymusowi, że tylko ode mnie zależy, czy zechcę używać kasku nadal, że nikt nie nakłada na mnie ciężkich i niezrozumiałych obowiązków. Nic nie musiałoby się gwałtownie zmieniać z wejściem kasku do mojego życia, jeśli bym tego nie chciał.

Zerwałem się i stanąwszy na głowie słuchałem szumu krwi w uszach i kłębiących się w czaszce myśli. Będę używał! — to jasne. Mądrze i celowo, jak nikt inny by tego nie zrobił. Każdy krok przemyślany, zgodny z planem. Począwszy od najdrobniejszych spraw. A moje osobiste? I te muszą być w największym porządku. Stopień z matematyki poprawiony... matura zdana... potem studia... Może z małą pomocą kasku? — zastanawiałem się. Lepiej nie! — stwierdziłem. Dam sobie radę bez niego. Wydało mi się niewłaściwe użycie go dla osobistych korzyści. I czy nie zostałby mi wtedy odebrany? — zbudził się cień obawy. Ale jeśli by to było bez szkody dla innych? Może by spróbować?

Uśmiechnąłem się w myśli, że przecież te moje rozterki, choć kasku nie miałem na głowie, są gdzieś tam przez kogoś śledzone. Może oceniane? A może budzą wesołość?

Nagły pomysł tak mnie olśnił, że spuściłem nogi na podłogę, zawadzając stopą o róg stołu. Syknąłem z bólu, a tu jeszcze zadzwonił budzik z drugiej strony tapczanu i musiałem natychmiast go uciszyć. Kulałem jeszcze przy śniadaniu, ale przynajmniej jeden problem miałem rozwiązany. Okupiłem to, co prawda, posądzeniem o

zdziecinnienie. Hubert zdumiony tym, że nie wychodzę z pokoju, choć dawno słyszał budzik, uchylił drzwi i zobaczył mnie w kasku. Stanowczo należało się strzec! To już trzecia osoba, po Zośce i Eli, tak mnie zastawa-ła. Jeśli coś złączną kojarzyć...

Wpadłem na pomysł, żeby zajrzeć w przyszłość. Uznałem, że wyrazić to żądanie najła-twiej będzie przy pomocy kalendarza. Usiadłem więc przed nim, wpatrując się w datę — listopad 1977. Następnie spuściłem na oczy osłonę kasku i po krótkim skupieniu znów wywo-łałem obraz kalendarza. Z kolei, wyteżając wyobraźnię, sprawiłem, że zmieniły się cyfry roku: 1990. Dotąd się udało. Teraz mogłem się spodziewać, że i w całym pokoju dojrzę zmia-ny. Trzydzieści lat! Nic jednak się nie zmieniło, ani w pokoju, ani na ulicy. Wywnioskowałem więc z tego, że podróż w czasie nie jest możliwa. Spróbowałem też przeszłości, roku 1960, bo bałem się sięgnąć dalej, przed swoje urodziny. Ale była to zbędna obawa. Kask nie przeniósł mnie poza teraźniejszość. Jedyna korzyść z doświadczenia była taka, że zobaczyłem samego siebie w piżamie i kasku na głowie, zwróconego do kalendarza, w chwili gdy Hubert zagląda do pokoju, a ja słysząc jego zdziwione słowa, zaczynam szarpać kask, by się z niego wydo-być.

Na kalendarzu została kartka ze zmienioną datą — 1960, zgodnie z moim ostatnim poleceniem. Kiedy już byłem ubrany, pokazałem to Hubertowi. Nie zdziwił się wcale, stwie-rdził, że pomyłka w druku.

Ten mój podniosły i jakby odświętny nastrój sprawił, że uczyniłem w szkole coś, co mnie samego zaskoczyło. W każdym razie na pewno nie przygotowałem się do tego. Pomysł zaświtał mi w chwili, kiedy ujrzałem wtaczającego się do klasy Papanicolau, jak nazywaliśmy profesora od matematyki. Postacią przypomina najbardziej morsa, gdyż począwszy od czubka łysiny jego ciało stale się poszerza, im niżej, tym większy mając obwód. Jest przy tym ubrany w czarny połyskliwy garnitur i porusza się z niespodziewaną szybkością, zawsze półbiegiem. Papanicolau potoczył się więc od drzwi do katedry, naszych zeszytów z klasówką jeszcze nie miał ze sobą. Zanim osiadł na krześle, które całkiem pod nim znikną, ja już otworzyłem usta i pod spojrzeciami całej klasy, zdumionej takim zachwianiem równowagi umysłowej — ba! gdyby wiedzieli, z jakiego powodu! — oznajmiłem, że trzecie zadanie na klasówce ściana-łem

od Balińskiego i jest źle rozwiązane. Papanicolau, nie mniej tym zdziwiony, pomknął środkiem przejścia między ławkami, zasapał obok mnie w przelocie, odbił się od ściany, a kiedy znów mnie mijał w powrotnej drodze, zdołałem dorzucić, że postaram się specjalnie przerobić w domu tę grupę równań. Nie wiem, co pomyślał, bo jak się zdaje, ze zdumienia nie mógł z siebie wydobyć głosu. Fukając i poświstując nosem ukrytym w fałdzistym obliczu, wrócił na katedrę i otworzył dziennik.

Słyszałem dokoła chichoty, psykania i docinki. Usiadłem czując się głupio i trochę też zaskoczony tym, co usłyszałem z własnych ust. W głębi ducha byłem jednak zadowolony i nadal jestem. A związek tej sprawy z kaskiem jest dla mnie oczywisty. Jeszcze kilka dni temu nie mógłbym zrobić nic podobnego. Ostatecznie, ściąganie należy do arsenału ucznia w jego zmaganiach ze szkołą i jest nieodłączną częścią jego zachowania się w tych murach. Myślę nawet, że niepisany, tradycyjny prawem ucznia są próby ściągania, zaś przywilejem i przyjemnością nauczycieli — polowanie na ściągających. Jest to rodzaj gry, która nie hańbi żadnej ze stron. Ba, wydaje mi się, że gdyby uczniowie przestali ściągać, nauczycielom nagle by czegoś zabrakło.

Ze mną działo się coś dziwnego! Chyba zacząłem pojmować, jak wielką wraz z kaskiem posiadałem siłę, i poczułem potrzebę przygotowania się do jej użycia. Nie chciałem mieć na sercu niczego, co by mi dolegało, co byłoby nie załatwione, nie wyjaśnione. Zastanawiałem się jeszcze, wracając tramwajem do domu, czy posiadanie władzy tak wpływa na wszystkich, którzy ją posiadają, czy tylko tak podziało na mnie...

Ten nastrój jakoś nie wygasł, toteż po obiedzie, podczas zmywania talerzy, okazałem tak niezwykajne zainteresowanie opowiadaniem Eli o jej działalności w Komitecie Bloko-wym i jakichś komisjach społecznych, że wtajemniczyła mnie w swoje bieżące zmartwienia, a na koniec poprosiła nawet o współudział.

Chodziło o znaną mi z widzenia rodzinę Brochwiczów, mieszkających w sąsiednim domu. Lepiej byłoby powiedzieć „gnieźdźcych się”, bo jak widziałem nieraz, przechodząc podwórzem, zajmowali izbę po dawnym sklepiku w suterynie. Ich kilkoro małych dzieci skupało się zawsze koło okna w cementowej studziencie, grzejąc się na słońcu i przyglądając zabawom dzieci z

całej kamienicy i naszego, sąsiedniego bloku. Jakoś rzadko włączały się do tych zabaw, mimo iż więcej czasu niż ktokolwiek spędzały na podwórzu. Przy tym tak uważnie i z powagą śledziły innych, że mówiło się nawet o nich: „Brochwicze dyżurują”. Pani Brochwiczowa brała pranie do domu, a jej mąż o różnych porach dnia przemykał przez podwórze — wyglądało na to, że nie miał stałej pracy.

Od Eli dowiedziałem się, że Brochwiczowie starają się o inne mieszkanie, gdyż ich suteryna jest wilgotna, ciemna, bez łazienki i kuchni. Władze lokalowe obiecują im przydział, ale każą czekać do przyszłego roku, a sprawa już się wlecze od dawna. Obecnie przeszkodą jest to, że pan Brochwicz nigdzie na stałe nie pracuje, bo pierwszeństwo w przydziałach mają ci zatrudnieni.

Ela rozmawiała z nimi, wyjaśniła, że gdyby zaczął pracować, dostaliby mieszkanie szybciej. Powiedział jej, że się stara, ale nigdzie go nie przyjmują. Trochę to brzmi nieprawdopodobnie, bo on jest dyplomowanym majstrem ślusarskim. Kiedy Komitet zaproponował, że się porozumie z kilkoma zakładami metalowymi, zaczął protestować, obraził się nie wiadomo o co albo udał obrażę. Oświadczył, że nie życzy sobie wtrącania się w jego sprawy, i na tym uciał rozmowę. Od pani Brochwiczowej niewiele więcej można się dowiedzieć poza tym, że mieszkanie w suterynie jest już niemożliwe. Na inne pytania odpowiadała płaczem i na tym kończyły się próby udzielenia im pomocy.

— Myślę — powiedziała Ela — że można by się czegoś więcej dowiedzieć od dzieci na podwórzu. Tobie byłoby łatwiej — stwierdziła — masz tam znajomości.

— No, wiesz! — odparłem bardziej dla zasady niż naprawdę obrażony. — Wśród tych smarkaczy?!

Ela udała, że nie słyszy.

— Nikt nie ma zamiaru wścibiać nosa w ich sprawy — dodała — ale wygląda na to, że oni sami sobie szkodzą, po prostu przez niezajomość przepisów czy z innego powodu kręcą i zaciemniają wszystko. Może im się wydaje, że w ten sposób więcej wskórają. Jednym słowem, gdybyś tam usłyszał od kogo, jaka naprawdę jest u nich sytuacja, może bym im skuteczniej pomogła.

— Spróbuję — obiecałem.

Oczywiście, od razu wiedziałem, że nie na podwórzu będę zbierał informacje. Miałem nieporównanie lepszy sposób. Zamknąwszy pokój

na klucz, by znowu ktoś mnie nie przyła-pał, zasiadłem na fotelu, w kasku na głowie. Była godzina 18.10, gdy rozpocząłem wizytę w mieszkaniu Brochwiczów. Zdawało mi się, że jest to odpowiednia pora, o ile w ogóle może być taka dla tego rodzaju „odwiedzin”. Rozgrzeszyłem się dobrymi intencjami.

Zobaczyłem ich okno zasłonięte materiałem, przez który sączył się zielonkawy blask. Przeniknąłem do wnętrza. W jaskrawym świetle żarówki pod emaliowanym kloszem ujrzałem złamane krzesło pod ścianą, a przy stole nakrytym ceratą stłuczony porcelanowy kubek. Zawartość rozlała się na podłodze. W kałuży leżała łyżeczka. Na łóżku, w kącie, siedziała pani Brochwiczowa, pochylona do przodu, z twarzą ukrytą w dłoniach, tak nieruchoma, jakby usnęła.

Ujrzawszy ją, cofnąłem się gwałtownie i obraz zniknął. Piszę „cofnąłem się”, bo nie wiem, jak to inaczej wyrazić, nie byłem przecież obecny tam fizycznie. W każdym razie, tak jak to odczuwam teraz, doznałem przyływu gwałtownej niechęci do oglądania tego obrazu. Co tu dużo mówić: do podglądania tych ludzi. I kask był mi posłuszny. Poczulem się w naj-wyższym stopniu nieswojo, tak dalece, że zmusiło mnie to do oswobodzenia głowy i zastano-wienia się nad tym tak dojmującym uczuciem. Niby dobrze wiadomo, dlaczego „nie należy” tak robić, a jednak chyba niedokładnie wiedziałem.

Każdy człowiek chce sam stwarzać jakiś swój obraz w oczach innych. Przecież po to udajemy wesołość, kiedy jest nam smutno, albo odwagę, kiedy trzęsiemy się ze strachu. Stąd się biorą te wszystkie dowcipy rysunkowe o panach wciągających brzuch na widok młodej dziewczyny. I pewnie dlatego Hubert ukrywa przed znajomymi swoje poobiednie drzemki. Każdy ma coś takiego i lepiej się czuje, kiedy inni o tym nie wiedzą. Ale wobec tego powi-nien innym też pozwolić na zachowanie podobnych tajemnic.

Kask dawał mi zupełnie wyjątkowe możliwości łamania tej zasady niepisanej. Stało się dla mnie jasne, że jeśli w ogóle mam go używać, będę musiał ją łamać, ale w takim razie — postanowiłem sobie — tylko wtedy, gdy będę głęboko przekonany, że pomagam osobie naprawdę zagrożonej. Lub wtedy gdy ta osoba znajdzie się w tak ciężkim położeniu, iż będzie dla niej sprawą bez znaczenia, czy ktoś na nią patrzy czy nie.

Wróciłem do mieszkania Brochwiczów. Prócz kobiety siedzącej na łóżku jakiś długi cień leżał w mroku pod stołem. Był to jej mąż.

Spoczywał na gołych deskach podłogi, w ubraniu, w koszuli rozchełstanej na piersiach, z rozrzuconymi rękami. Stopy w skarpetkach, jeden but leżał obok, drugiego nie dostrzegłem.

Pod głowę miał wciśnięty jasiek, oczy zamknięte, z kąta ust spływała ślina. Oddychał chrapliwie i nierówno. Ręce mu drgały, jakby usiłował je dźwignąć i nie miał na to dość siły.

Opodal, na drugim łóżku, częściowo zasłoniętym kotarą przesuwaną na drucie, leżało troje dzieci przytulonych do siebie, dwie dziewczynki i chłopiec, w ubraniach i butach na skłębionej pościeli. Spały wszystkie. Zobaczyłem policzek dziewczynki z zaschniętymi łzami.

Rozlegały się tylko oddechy i spoza zasłoniętego okna kroki przechodniów. Pod jedną ze ścian leżały tobołki z bielizną do prania. Przy drzwiach kilkanaście butelek, kilka przewróconych, niektóre po wódce, inne od piwa.

Uznałem, że wiem już dosyć, i na tym zakończyłem oględziny. Przez następną godzinę odrabiałem lekcje, ale myślami wciąż wracałem do tego, co zobaczyłem u Brochwiczów, i wyrobiłem sobie jasny pogląd na to, co mam powiedzieć Eli. Wyszła gdzieś z domu, co zresztą bardzo mi było na rękę, bo sam nie musiałem wychodzić, żeby upozorować przeprowadzanie wywiadu. Na tym skończyło się na razie.

Kiedy usiadłem do matematyki i wgryzłem się w nią co nieco, naszała mnie chęć zrobienia niewinnego kawału naszemu Papanicolau. Czułem, że to niepoważne i głupie, że hełmu inaczej powinienem używać. Rozgrzeszyłem się jednak łatwo, sam tłumacząc sobie, że najpierw muszę poznać dobrze jego działanie, zacząć od małych i nieznacznych kroków. Zresztą, nie ma co ukrywać, te jakieś większe cele, jak naprawa świata, zaledwie mgliście majaczą mi w głowie i zdają sobie sprawę, że trzeba będzie czasu, by określić właściwe zadania.

Doskonale wiedziałem, gdzie są nasze zeszyty z klasówkami. Leżały w szafie, w pokoju nauczycielskim. Tam z pomocą kasku je odnalazłem. Zegar na szkolnym korytarzu wskazywał dwudziestą, ale wszystkie lampy jeszcze się paliły. W wielu klasach odbywały się lekcje wieczorowe. W pokoju nauczycielskim siedziała tylko pani od polskiego pracując przy oknie. Na wieszaku ujrzałem kilka płaszczy. Nie miało to jednak żadnego znaczenia, już się przekonałem, że moje

odwiedziny były niezauważalne dla ludzi.

Zacząłem nabierać wprawy w poruszaniu się na odległość i szybkim osiągnięciu celu. Gdy już spojrzałem na znaną mi szafę i zatrzymałem wzrok na szybie, urosła ona jak na drożdżach i rozplynęła się, a na jej miejscu zobaczyłem, zgodnie z pragnieniem, ułożone na półkach zeszyty. Nalepka z nazwiskiem Balińskiego powiedziała mi, że to ten stos, którego poszukuję. Stopniowo przenikałem w głąb, odcytując kolejne nazwiska na okładkach, aż trafiłem na własne i ukazały mi się zapisane kartki. Wyraźnie rysowały się kratki na papierze i moje cyfry, ostre, jakby otwarty zeszyt leżał przede mną na stole, tyle że odtworzone w tym zielonkawym świetle, jakie już znałem z wnętrza majowskiej piramidy. Przekonałem się, że mój zeszyt nie został jeszcze sprawdzony, brakowało podpisu Papanicolau i wielkiej dwóki, którą miał zwyczaj wyrysowywać kaligraficznie, tak aby wypełniała całą nie zapisaną część stronicy.

Zobaczyłem swoje ściągnięte zadanie, przekreślone przeze mnie z rozmachem płynącym z rozpaczy, że nie zdążę już ściągnąć po raz drugi. Pół kartki było jeszcze wolnej pod spodem. Sprawilem, że tam zaczęły ukazywać się cyfry, pisane jakby ręką Papanicolau, o kształcie znanym z najdawniejszych arabskich pergaminów. Zawsze pisał tak i na tablicy, stąd umieliśmy je doskonale naśladować.

O co mi chodziło? Znałem systematyczność Papanicolau, miał zwyczaj sprawdzać zeszyt po zeszycie, według alfabetu, tak też nas przepytował. Wszelki nieporządek wytrącał go z równowagi. A tutaj miał natrafić na poprawiony już przez siebie zeszyt, najwyraźniej z naruszeniem kolejności! W dodatku z wpisanym poprawnie rozwiązaniem, czego nie zwykł robić. A w dodatku nie pamiętałby, jak do tego doszło. Jednym słowem, chciałem zakpić z jego nieznośnej pedanterii.

Tak więc, mając już w małym palcu owo zadanie z klasówki, zacząłem „wpisywać” rozwiązanie do zeszytu. Tu jednak zaszło coś dziwnego. O ile do tej pory wszystko działało się w największej zgodzie z moimi zamiarami i moje myśli wywoływały obrazy dokładnie takie, jakie chciałem zobaczyć, teraz nastąpiła poważna rozbieżność.

Kartka jęła się pokrywać szeregiem drobnych cyferek, lecz zupełnie innych niż chciałem. W ciągu kilku sekund wypełniła się do końca, równania przeniosły się na następną stronę, zaś u dołu zjawilo

się podkreślone dwa razy rozwiązanie. Tak mocno odczuwałem tę pierwszą niezgodność między moim zamiarem a działaniem kasku, jakbym został obrażony. Przez długą chwilę ślęczałem nad zeszytem zastanawiając się, jak to wydarzenie ocenić. Cały ciąg równań okazał się diametralnie różny od mojego rozwiązania. Poczynione były założenia, których nie rozumiałem, i wprowadzone znaki matematyczne, które oglądałem po raz pierwszy w życiu.

A jednak postanowiłem to zostawić. Ostatecznie, tylko żart miałem na celu, a że rozwiązanie przybrało osobliwą formę, tym większe powinno być zdumienie Papanicolau. Pozostawiłem zeszyt jego własnemu losowi, uznając, że widocznie nie dość mocno sygnalizowałem mój ciąg rozumowania. Być może, jakieś moje wahanie uznano za niewiedzę i oczekiwanie pomocy, po czym rozwiązano równanie sposobami mnie nie znanymi. Pozostało tylko czekać na dalszy ciąg w szkole.

O siódmej zadzwonił Kędzia, mieszkający w pobliżu, z zapytaniem, czy może wpaść do mnie na chwilę i pożyczyć zeszyt do chemii. Od kilku dni chorował, nie był w szkole i chciał nadrobić zaległości. Nie miałem najmniejszej chęci oglądać go. Nie dość, że był gadatliwy, to jeszcze znał tylko jeden zajmujący go temat: pieniądze i sposoby ich zarabiania. Rzecz jasna, powtarzał to, co słyszał w domu. Ojciec Kędzi coś tam produkował z plastyku i, jak wiedzieliśmy od jego syna, nie uznawał jakichkolwiek zajęć, które nie prowadziły najkrótszą drogą do uzyskania dochodu. Młody Kędzia tylko raz w miesiącu mógł się wybrać do kina, w dodatku to bezproduktywne wydanie piętnastu złotych wymuszał na ojcu płaczem. Niby cierpiał z powodu takiego światopoglądu rodziny, a jednak sam tym nasiąkał.

Powiedziałem mu, że może mnie nie zastać w domu i zeszyt wyda mu Zośka. Chciałem uniknąć jego gadulstwa. Ale kiedy już położył słuchawkę, przyszło mi na myśl, by posłuchać, co on ma do powiedzenia na temat najlepiej mu znany — pieniędzy. Nie ma co ukrywać przed sobą, od pierwszych chwil zdawałem sobie sprawę, że kask daje mi możliwość zdobycia, jeśli nawet nie bogactwa, to w każdym razie dużych pieniędzy, jak to się nazywa. Przecież takim samym sposobem, jakim zamieniałem zielony świerk w pomarańczowy, mogłem też zamienić byle skrawek papieru w banknot tysiączłotowy albo przycisk z polnego kamienia leżący na



moim stole — w bryłkę złota.

Myślałem o tym trochę wstydliwie i spychałem tę myśl gdzieś tam, do ciemnych zaka-marków głowy, skąd usiłowała się wyrwać na nowo. Zanim ją znów opanowałem, roztaczała mi przed oczami miraż tych wszystkich motorówek, nart wodnych, sportowych samochodów, które będę mógł sobie kupić, i podróży, które odbędę. Serce zaczynało bić przyspieszonym rytmem, walczyłem z pokusą, wreszcie udawało się opanować te gwałtowne marzenia, ale na jak długo? Powiedziałem sobie, że muszę się z tym uporać i zamiast wstydliwie kryć to przed sobą samym, wyrobić sobie jasne zdanie: mogę czy nie mogę? I chcę czy nie chcę w ten spo-sób korzystać z kasku?

Czekając na Kęzię rozważyłem jedną, jak to określiłem, z roboczych możliwości: co by się stało, gdybym podrzucił cały pakiet banknotów Hubertowi albo Eli. Wynik najłatwiej-szy do przewidzenia. Rodzina nic by na tym nie skorzystała. Najpewniej ja sam, wysłany przez rodziców, musiałbym natychmiast zanieść ogłoszenie do gazety. A ponieważ właściciel by się nie znalazł, pieniądze zostałyby przekazane na jakiś cel społeczny. A co, gdybym je zatrzymał dla siebie? I to było oczywiste — nie mógłbym wydać kilku tysięcy złotych bez zwrócenia uwagi w domu i w szkole. I jak bym się wytłumaczył? Rzecz nie do przeprowa-dzenia, choćby z tak prozaicznych powodów, nie mówiąc już o wewnętrznym oporze i niepo-koju, jaki odczuwałem na myśl o tak prymitywnym i małostkowym użyciu tego potężnego środka, jakim był kask, zdolny zmienić obraz świata.

No, a co by się stało, gdybym tak wprost zasilił całe społeczeństwo, innymi słowami, kasę państwową? Mogłem wścibić nos do skarbcu, żeby nie wiem jak był strzeżony, i sprawić, że wszystkie jego pomieszczenia wypełniłyby się sztabami złota. Co by się dalej rozpełta-ło, łatwo mogłem sobie wyobrazić. Hubert zabawiał nas zwykle przy obiedzie opowieściami o wyczynach biurokratów, tak że dość dobrze wiedziałem, co to są główni księgowi, sprawo-zdania, bilanse i przepisy. Odkrycie takiej ilości nie zaksiegowanego złota w skarbcu pań-stwowym wywołałoby nie mniejszy wstrząs, burzę, śledztwo i zamieszanie, niż rabunek. Zre-sztą może i większe. W końcu kradzież była czymś możliwym do zrozumienia, ale pojawienie się kruszcu? Wiadomości o takim wydarzeniu nie udałoby się utrzymać w tajemnicy, mu-siałaby wywołać w całym kraju tysiące

podejrzeń, domysłów, a wreszcie pewnie i oskarżeń. Nie chciałem się już zastanawiać nad tym, ilu niewinnych ludzi, począwszy od strażników, poprzez sprzątaczkę, do skarbników, prezesów i ministrów, musiałoby się gęsto tłumaczyć i udowadniać, że o niczym nie wiedzą. Ilu by straciło posadę! Krótko mówiąc, odrzuciłem tę możliwość, nie miałem zamiaru komukolwiek szkodzić, nawet w imię tak zwanych wyższych celów. Tym bardziej że z pewnością istniały lepsze i zręczniejsze sposoby osiągnięcia tego samego. Należało je tylko wypracować.

Kędzia zjawił się i, o dziwo, wcale nie pragnął rozmowy ze mną, porwał zeszyt i od razu chciał zniknąć. Nawet był trochę zdziwiony, gdy go zaciągnąłem do pokoju. Rozmawialiśmy chwilę o tym i owym, wreszcie, kiedy się trochę ożywił, zapytałem wprost:

— Co byś zrobił, Kędzior, gdybyś przez całe życie jakimś dziwnym cudem mógł znajdować w kieszeni banknoty? Ledwo byś jeden wyjął, a już tam czeka następny.

— To zależy... — Kędzia wyduł wargi, zastanawiał się nad czymś. — To zależy — powtórzył. — Złote czy dolary? I w jakich odcinkach?

— Jakie byś wolał... — odparłem zaskoczony, bo mnie samemu nic takiego nie przyszło do głowy. Z kolei jemu, jak się zaraz przekonałem, ani zaświtały te samochody i wyspy z palmami, to przekraczało jego wyobraźnię.

— Co bym zrobił? — spytał. — To proste. Wymowałbym z kieszeni tak długo, aż by się zebrał stos, milion albo dwa miliony dolarów.

— Ale po co?! — zawołałem wstrząśnięty jego przyziemnością. — Przecież miałbyś kieszeń, z której zawsze mógłbyś wyjmować, ile ci potrzeba.

— Już ja tam wolę — zmrużył oczy — nie ryzykować. Z kieszenią może się coś stać, rozdarłaby się albo ktoś by mi ukradł marynarkę i kłapa... Zresztą całe życie tej samej nie mógłbym nosić. A najważniejsze — tym mnie dobił! — że pieniądze w kieszeni nie procentują. Trzeba nimi obracać albo włożyć do banku, niech przyrastają z odsetek.

Najwyraźniej w świecie w ogóle nie przychodziło mu do głowy, że pieniądze mogą do czegoś służyć, że można je nie tylko posiadać i gromadzić, ale coś mieć za nie, coś zobaczyć, poznać, ofiarować

komuś... Chciał je tylko posiadać! Postanowiłem poruszyć trochę jego wyobraźnię.

— Chodzi mi o to, co byś sobie kupił? — spytałem.

— Wiadomo — wzruszył ramionami — najlepiej złoto, bo łatwo zakopać i długo prze-chowywać. Złoto jest w cenie. Nie to co banknoty.

Coś beznadziejnego! Nie mogłem uwierzyć, że na tym się kończą jego zainteresowania.

— Ale dla siebie nic byś nie chciał? Mógłbyś podróżować...

— Nie zwariowałem — skrzywił się i spojrzał na mnie, jakbym to ja był trochę nieno-rmalny. — A po co? Mając tyle pieniędzy?

Zatkał mi tym usta. To było jasne. Ten człowiek dokładnie wiedział, jak się zachować, kiedy los się do niego uśmiechnie. Nawet się nie zawahał!

— A co? — powiedział lekko zaczepnym tonem, jakby odgadując coś niemiłego dla siebie z mojej niewyraźnej miny. — Było coś takiego w telewizji?

— Tak... — bąknąłem pod nosem, zadowolony, że pomaga mi zrećcznie zakończyć rozmowę.

— Jakiś teleturniej? — rzucił domyślnie i podniósł się z fotela. — Ciekawe, co odpo-wiadali — dodał już w przedpokoju. — Ja bym wiedział — zakończył w drzwiach — trochę w złocie, a trochę w kamieniach.

Wróciłem do pokoju i, co najważniejsze, już bez wątpliwości. Wiedziałem, że bez wy-raźnej i bardzo dojmującej potrzeby na pewno nie wykorzystam kasku w takim celu. Nie była to przecież bryłka złota, którą każdy może znaleźć przypadkowo w potoku górskim i zrobić z nią, co zechce. Jeśli mnie wybrano, bo o przypadku nie mogło być mowy, to celowo, z wykluczeniem wielu innych ludzi, a to z pewnością czemuś miało służyć i nakładało na mnie jakieś obowiązki. Nie tylko wobec siebie samego, łatwo to było odgadnąć. A poza tym — czy nie okazałbym małoduszności i głupoty poświęcając choć część uwagi na zapewnianie sobie kieszeni wtedy, gdy miałem takie podniecające możliwości wszelkiego działania? Przeżycia takiej fantastycznej przygody, jaka się od początku świata nikomu nie zdarzyła! Z radości powinienem zacząć unosić się w powietrzu. W tej chwili poczułem się obywatelem Ziemi, odpowiedzialnym za cały nasz Gatunek i wszelkie istoty i rośliny żyjące na Planecie.

O godzinie 21.00 siedzieliśmy przy kolacji. Rozmowa zesłała na Brochwiczów. Zadanie miałem ułatwione, gdyż Hubert sam zapytał mamę:

— Czy ten Brochwicz przypadkiem nie pije?

— Nie wiem — odparła Ela.

— Coś się tam działo u nich dzisiaj — powiedziałem ostrożnie.

— Właśnie! — podchwyciła Ela. — Miałeś się czegoś dowiedzieć.

— Jakieś krzyki, łomot mebli, dzieci płakały — mówiłem przekonany, że nie kłamię. Choć sam nie byłem świadkiem tej sceny, widziałem jednak przewrócone krzesło i zapłakane dzieci.

— To by mogło pogorszyć ich sprawę — zauważyła Ela.

— Pełno tam u nich butelek od wódki — dodałem.

Szczerliwie, jakoś nikt nie zapytał, skąd się tego dowiedziałem, zaś Ela zakończyła rozmowę stwierdzając:

— No tak, to może wiele wyjaśnić. Będę więc musiała wprost spytać Brochwiczową.

W poczuciu dobrze spełnionej tajnej misji zabrałem się do kolejnego kawałka chleba z serem, a pod koniec kolacji zaprzętnęło mnie już coś całkiem innego. Hubert włączył radio i usłyszeliśmy głos spikera czytającego wiadomości. Jedna z nich sprawiła, że pospiesznie zakończyłem jedzenie.

Samoloty i kutry straży przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych już piąty dzień bezskutecznie poszukują zaginionego sześciometrowego jachtu „Sea Flower”, należącego do najmniejszych jedno-stek, jakie podejmowały próbę opłynięcia świata. Samotny żeglarz, James Roebuck, mający na pokładzie dwie radiostacje, po raz ostatni nawiązał łączność przed tygo-dniem, donosząc o utracie masztu. Znajdował się wówczas pięćdziesiąt mil na wschód od Bermudów. W rejonie tym nadal szaleje gwałtowny sztorm.

— Znowu ten Trójkąt Bermudzki? — odezwała się Ela. — Coś się w tym jednak kryje...

— Nie wierzę w żadne tajemnicze siły — stwierdził Hubert.

— Ale statki i samoloty giną bez śladu, to pewne — rzekła Ela.

— Czy bez śladu, to trudno stwierdzić — dowodził. — Zawsze

coś tam pewnie pływa po morzu, jakaś deska czy bańka po oliwie. Nie mówiłem wam o tym raporcie ekspertów? — spytał.

— Mówiłeś — odparła — ale...

Skorzystałem z tej chwili, aby wstać od stołu i jak najprędzej zniknąć, opanowany już własnymi pomysłami.

— Wcześniej się położę — oznajmiłem ku ogólnemu zdziwieniu i zanim padły pytania o zdrowie, już mnie tam nie było.

Komunikat radiowy poruszył mnie nie tylko dlatego, że zdałem sobie sprawę, iż mogę uratować życie Roebuckowi, ale też być może wyjaśnić zagadkę całego Trójkąta Bermu-dzkiego. Wiedziałem, że w ciągu ostatnich trzydziestu lat zginęło tam ponad sto statków i samolotów w niewytłumaczony sposób. Wprawdzie ów raport, o którym wspominał Hubert, w zasadzie wyjaśniał problem, ale wyobrażnia, zwłaszcza dziennikarzy, nadal kazała szukać niezwykłych przyczyn. Eksperci twierdzili, że prawie wszystkie jednostki składające się na tak wysoką statystykę wypadków były to małe żaglówki i jachty motorowe oraz prywatne awionetki weekendowych żeglarzy i pilotów. Niedoświadczonych i nie posiadających odpowiednich przyrządów nawigacyjnych, a wypuszczających się ze Stanów na wyspy Morza Karaibskiego tym śmieiej, że panuje tam najczęściej piękna pogoda. Niestety, równie często zrywają się niespodziewanie gwałtowne sztormy i to one powodują katastrofę — przy ama-torskiej nawigacji „na oko” i z małym zapasem paliwa.

Dziennikarze utrzymywali natomiast, że to nie takie proste. Że winne są podmorskie ruchy sejsmiczne, to znów żółtawosina mgła uniemożliwiająca nawigację lub wreszcie przy-bysze z kosmosu porywający statki z załogami dla celów badawczych, a na koniec „dziura w czasie”, przez którą ofiary dostają się do innego wymiaru...

Wyjąłem pościel, kask rzuciłem na poduszkę, aby już w pozycji leżącej zająć się żeglarzem. A przed zgaszeniem światła doprowadziłem jeszcze, notatki do ostatniej chwili.

Upłynęły dwa dni, nie dotrzymałem więc danego sobie słowa, że pisać będę codziennie. Po prostu nie byłem w stanie zabrać się do tego, tak wiele i tak różnych rzeczy się wydarzyło. Mocno zarwałem noc spędzając ją na morzu, zaprzętało mnie też nieoczekiwane zakończenie mojego kawału zrobionego matematykowi. Ale po kolei.

Zaczynam od Jamesa. Nazywam go po imieniu, bo wydaje mi się, że znam go od dawna, chociaż on nic nie wie o moim istnieniu. Owego wieczora leżąc już pod kocem wsunąłem kask na głowę i po kilku minutach bezskutecznych usiłowań, aby wywołać obraz jachtu „Sea Flower”, przekonałem się dobitnie, że wymaga to określonej współpracy z mojej strony. Byłem niecierpliwy, wywołałem w myślach wizerunek kadłuba z tym napisem, lecz on się nie pojawiał na ekranie. Pojąłem, o co chodzi. Zerwałem się z tapczanu i zajrzałem do atlasu. Właśnie to było niezbędne, aby dostarczyć dokładną informację tam, gdzie dysponowano pracą kasku. Nie miałem już wątpliwości, że i o n i nie są wszechwiedzący. Zapewne w końcu odszukano by i tak ten skrawek burty z żądanym przeze mnie napisem, ale wymagałoby to — obojętne, jakim odbywało się sposobem — sprawdzenia wszystkich jednostek pływających na oceanach, rzekach i jeziorach, a być może także i na ich dnie.

Tu nasuwa mi się prawda ogólniejszej natury: mimo swych wspaniałych właściwości kask wymaga mojej współpracy. Więcej, przecież to ja nim steruję. To nie jest stoliczek, który sam wie, czym się ma nakryć. Beze mnie nie jest zdolny do żadnego w ogóle działania. Począłem zdawać sobie sprawę, co to oznacza dla mnie. Aby dostarczać mu informacji, sam muszę je posiadać. Aby stawiać mu zadania, sam powinienem umieć je określać. Jeśli więc chciałem podjąć to wyzwanie, jakim była dana mi możliwość „naprawiania świata”, czekała mnie olbrzymia praca! Po raz pierwszy błysnęła mi myśl, że więcej czasu będę musiał spędzić na przygotowaniach z nosem zagłębionym w książkach, niż z kaskiem na głowie, bujając po szerokim świecie...

A teraz to już tylko o Jamesie. Zajrzałem więc do atlasu i znalazłem brytyjskie Bermudy, około tysiąca kilometrów na wschód od wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Największa z wysp miała kształt haka na rekiny, tak była długa, wąska i zagięta hakowato u wschodniego krańca. Patrząc na nią, kilka razy otworzyłem i

zamknąłem oczy, aż ten charakterystyczny kształt z łatwością mogłem wywołać pod powiekami.

Seans z kaskiem zacząłem od ogólniejszego obrazu całej półkuli z kontynentem Ameryki. Ten obraz nie mógł budzić żadnych wątpliwości, toteż pojawił się, ledwie go zażądałem. A ja, już przecież nieco oswojony z tym widokiem, przez dłuższą chwilę z zapartym oddechem wpatrywałem się w otchłań pod sobą.

Ziemia wydała mi się dziwnie zniekształcona, jak nadmuchany balon klęsnący z jednej strony, dopóki nie pojąłem, że tak ją zmienia cień nasuwający się od wschodu. Atlantyk, podsiąkając nocą, był ciemny, kobaltowy, przeciwnie do srebrzystosiwego Pacyfiku, jeszcze odbijającego ulewę promieni. Kontynent Północnej Ameryki był dziwnie bezbarwny i na wielkich przestrzeniach, zwłaszcza u wschodniego wybrzeża, okryty podobnymi do mydlin chmurami. Szarobiałe lizaje obejmowały też morze i Bermudy kryły się pod nimi. Trwała tam więc nadal niepogoda.

Chmury nie stanowiły przeszkody. Utkwiłem spojrzenie w ich zwałionej powierzchni, aż ją się przybliżyć do mnie i przez kilka sekund majaczyły mi przed oczami welony kipiącej pary, zrazu śnieżne, lecz coraz ciemniejsze, a im bliżej ku powierzchni morza — bure. Czekałem na pojawienie się spod nich znajomego mi już z atlasu zarysu wyspy. Istotnie, wychynął z chaosu, ale jego barwa daleka była od naturalnej. Zarówno największa wyspa, jak sąsiednie i otaczające je morze, były skąpane w tym samym zielonawym świetle, pozbawionym cieni, jakie po raz pierwszy ujrzałem we wnętrzu piramidy. Domyśliłem się z tego, że warstwa chmur sięga do samej powierzchni wody i aby umożliwić mi jej oglądanie, posłużyło się projekcją innych promieni niż słoneczne.

W tej chwili nie to było ważne. Zgodnie ze wskazaniem komunikatu radiowego, jałem szukać na wschód od archipelagu. Morze było nieprawdopodobnie wzburzone i nawet z wielkiej wysokości rysowały się na nim, niby równoległe zmarszczki, jaśniejące grzbiety fal sunących potężnymi wałami w stronę otwartego Atlantyku. Po raz drugi przywołałem z wyobraźni obraz smukłego dzioba jachtu z napisem „Sea Flower” i, za ledwie po kilku sekundach, zostałem zrozumiany. Morze poczęło się przesuwać przede mną, uciekać, a zarazem zbliżać, tak jakbym je oglądał z lądującego samolotu. Gdy obraz znowu znieruchomiał, ujrzałem to, o co mi

chodziło.

Kadłub miotany falami, zalewany pianą, raz po raz niknący pod szklistą lawiną, posu-wający się skokami, całkowicie bezwolny i wypełniony wodą. Zalany był nie tylko kokpit, ale i kabina. Podczas głębokich przechyłów widziałem, jak pod ciśnieniem wytryskują z wnętrza fontanny wody, po chwili znów się tam wdzierającej wyłamany włazem. Gdy zwróciłem uwagę na ciszę, w jakiej się to odbywało, natychmiast burza dźwięków wypełniała mi uszy. Syk sprężanego powietrza, łomot fal i wycie wichury. Widziałem kikut masztu, pozrywane wanty, kawałek wystrzępionej liny trzymający się knagi, brak steru. Pręty relingu, poręczy otaczającej kiedyś cały pokład, były bądź połamane przy samej nasadzie, bądź wyrwane z drewna razem ze śrubami.

Patrzałem zdumiony, że drewniany kadłub jeszcze trzyma się w całości, a poszycie nie zostało z niego zdarte. Na długie, kilkudziesięciosekundowe okresy znikał w ogóle w topieli, aby znowu, niezmiernie powoli z niej się wynurzyć.

Nie mogłem się łudzić — nie było mowy o tym, aby w tych warunkach, na tym wraku, półzatopionym i trzymającym się na powierzchni zapewne tylko dzięki komorom pływako-wym, mógł przetrwać żeglarz. Nie wiedziałem, co zrobić dalej. Przykuwał mnie ten widok zniszczenia i potęgi wody. Myślałem o tym, że spóźniłem się z ratunkiem i że zapewne James utonął od razu, przytłoczony lawiną słonej cieczy. Cóż mogłem jeszcze uczynić dla niego? Co najwyżej jakoś powiadomić prowadzących akcją ratunkową, że jest już spóźniona i należy ją przerwać, by nie narażać życia załóg... Ale w tej chwili uświadomiłem sobie, że przecież nie mam żadnej pewności co do śmierci Jamesa.

Jak dotąd opierałem się tylko na własnych wrażeniach, a to nie znaczyło wiele.

Pomyślałem, że przerwanie poszukiwań byłoby jaskrawym dowodem, iż nie dorosłem jeszcze do posługiwania się kaskiem. Nie po to go otrzymałem, by mi służył jako coś w rodzaju superdoskonałego kina. Należało uczynić wszystko, co tylko mogłem, aby wykonać postawione sobie zadanie, z zimną krwią i nie kierując się własnymi wrażeniami.

Przeniknąłem spojrzeniem do wnętrza kadłuba. Ciała tam nie odkryłem. W kabynie kotłowały się zmieszane z wodą przedmioty i



koce zerwane z koi, rozmoczone na strzępki mapy, puszeki konserwowe. Sprawdziłem jeszcze składzik na dziobie z zapasowymi żaglami i zwojami lin. Tam też była woda.

Uznałem, że jest jeszcze cień nadziei. James Roebuck mógł szukać ocalenia na tratwie ratunkowej. Bez zwłoki przekazałem kaskowi znany mi z filmów i fotografii obraz człowieka w gumowej dinghy miotanej przez morze. Jacht zniknął, obraz stracił ostrość, czekałem z niepokojem, patrząc w zielonawą mgiełkę. Nie pamiętam, jak długo, wiem tylko, że dotarł do mnie wtedy, jak z innego świata, wstrząsając wszystkimi moimi nerwami, przeraźliwy jazgot kół tramwajowych na szynach, u nas przed domem.

I znów byłem na morzu. Tuż pode mną chwiało się i miotało pneumatyczny ponton. Był w nim człowiek. Widziałem go przez smugi wody i piany niesione wichurą. Leżał z głową opartą na burcie, z zamkniętymi oczami, wstrząsany uderzeniami grzywaczy. Ciało tkwiło do pasa w wodzie wypełniającej łódkę. Wydał mi się nieżywy. Moja wina — powiedziałem sobie. Spóźniłem się, bo zamiast od razu go szukać, jeszcze uzupełniałem notatki, pakowałem książki do szkoły, myłem zęby...

Ponton, lekki jak korek, z przejściem każdej fali nieustannie wznosił się, to spadał dobre sześć, siedem metrów. Głowa rozbitka chwiała się i podskakiwała zalewana pianą. Niepodobna było stwierdzić, czy tliło się w nim jeszcze życie. Lecz w tej chwili, uwiązane na linie drewniane wiosło, wyrwane przez huragan z kipieli, zatoczyło w powietrzu łuk i uderzyło Jamesa w czoło. Ujrzałem szramę podbiegającą krwią i równocześnie jego rękę podnoszącą się do czoła. A więc nie tylko żył jeszcze, ale zachowały się w nim resztki czucia.

Nie bardzo wiedząc, jak mu pomóc — o morzu nie miałem żadnego pojęcia — uciekłem się do starego i prymitywnego sposobu: rozlania oliwy na fale. Rzecz jasna, miałem i inne pomysły. Z pewnością najskuteczniejsze by było uniesienie Jamesa, może razem z ponto-nem, i przeniesienie do najbliższego lądu. Tak, ale ja pamiętałem nauczkę, jaką dał mi poma-rańczowy świerk, i powtarzałem sobie, że działałam nie w bajce, lecz w prawdziwym świecie, gdzie każde zjawisko musi mieć swoją fizyczną przyczynę i skutek. Czy mogłem więc być pewny, że niesienie człowieka w powietrzu, na odległość chyba stu mil dzielących go od Bermudów,

nie zaszkodzi mu bardziej niż to, co się już z nim działo? Byłem ostrożny, a i tak to, co nastąpiło...

Nie chcąc, by potop oliwy spadł na głowę rozbitka, wyobraziłem sobie, że tłusta ciecz wypływa z głębi morza, tak jak powietrze podnoszące się w akwarium łańcuszkiem baniek. W moich myślach rozlewał się na powierzchni tłusta, połyskliwą pokrywą. Po kilkunastu sekundach mogłem już oglądać wynik. Szara kopuła, podobna do grzbietu wynurzającego się wieloryba, uniosła ponton wyżej aniżeli fale i rozplynęła się, jakby topniejąc na powierzchni morza. Za nią wypływały następne, rozmaitych wielkości, setki ton tłustej cieczy, bijącej fontanną z głębin. To prawda, że pienista kipiela, pokrywająca dotychczas Atlantyk, została w jednej chwili zduszona. Ale falowanie bynajmniej nie ustało. Zdałem sobie sprawę, że dla wygładzenia tych rozkołysanych mas wody trzeba będzie oceanu oliwy. Buchała coraz obfitym strumieniem, jak lava wyrzucana z wulkanu, i natychmiast przejmowała falowanie morza.

Sądzę, że upłynęło pół minuty, nim zdałem sobie sprawę, czym to grozi, i wstrzymałem dalszy dopływ. Gdzieś w głębinach odbywała się synteza tego płynu, obejmująca wielkie masy wody, i nie mogłem przewidzieć, jakie dalsze skutki pociągnie ta reakcja za sobą. Nie mogłem wykluczyć na przykład wydzielania się ciepła, które zagotowałoby morze. Wtedy uratowanie jednego Jamesa zapewne spowodowałoby śmierć niezliczonych zwierząt morskich, a kto wie, czy nie ludzi. Porzuciłem ten sposób i od razu przekonałem się, jak mało był skuteczny przy sztormie o takiej sile. Płaszcz oliwy został rozerwany ciosami wiatru i grzywaczy, rozbity i rozpędzony po morzu.

James, błyszczący od tłuszczu, tkwił w pontonie pełnym lepkiej, połyskliwej cieczy. Jego położenie wciąż jeszcze nie uległo poprawie. Maltretowany huraganem, nie dawał żadnych znaków życia. Zacząłem się denerwować. Najważniejsze wydało mi się w tej chwili osłonięcie go przed działaniem wiatru i wody. Pamiętałem taką starą, wschodnią miniaturę, na której jest przedstawiony bodaj Aleksander Wielki, opuszczający się na dno morza w przezroczystej bani. To było najprostsze z możliwych urządzenie. Błysnęła mi co prawda myśl o jakimś statku czy łodzi podwodnej, w którą należałoby zmienić ponton, ale to było urządzenie zbyt skomplikowane, aby informację o nim przekazać bez ryzyka zapomnienia o jakimś

niezbędnym urządzeniu. W porównaniu z tym bania miała same zalety. Należałoby tylko położyć nacisk na to, aby była pusta wewnątrz, jak bańka mydlana. W przeciwnym razie mógłbym ujrzyć człowieka oblanego przezroczystą masą, niby owada w szklanej bryle.

Powiodło się. Ujrzałem kulisty twór otaczający opalizującą powłoką Jamesa i ponton. Jego wyporność sprawiała, że niemal się nie zanurzał, choć nadal był miotany przez fale. Niestety z takim skutkiem, że rozbitek z pontonem i kilkaset litrów wody zamknięte wewnątrz poczęły kotłować się jak w mikserze. Miałem dość przytomności umysłu, aby niemal natychmiast ustabilizować kulę w jednym położeniu, tak jakby miała oś zawsze skierowaną prostopadle ku powierzchni morza. Zatrzymało to ponton, ale nie wodę, nadal chlupiącą przy każdym ruchu kuli jeżdżącej w dół i do góry podobnie do windy. Sprawilem, że woda zniknęła z wnętrza, przesiąkając przez przejrzyste ściany.

Czułem strużki zimnego potu spływające mi po czole. Byłem tak zmęczony, jakbym znajdował się nie we własnym łóżku, lecz tam, na Atlantyku. Doznałem jednak ulgi, wreszcie udało mi się coś zdziałać dla Jamesa. Przeniknąłem do wnętrza bani. Powłoka oddzielała nie tylko od huraganu, od ulewy kropel i strumieni piany niesionych z olbrzymią szybkością, ale też i od hałasu. Nie dochodziło tu nic z wściekłego ryku oceanu. Warunki zmieniły się tak dalece, że coś z tego musiało przeniknąć i do świadomości Jamesa, bowiem się poruszył. Uniósł dłoń przed twarzą, jakby chcąc ją obejrzeć, ale nie otworzył oczu. Kurczył i rozwierał palce, odetchnął głęboko, po czym opadł niżej i znów znieruchomiał wsparty o nadmuchaną burtę. Teraz dopiero spostrzegłem, że był przywiązany linką do pontonu.

Niebezpieczeństwo nie było jeszcze całkiem zażegnane. James, skrajnie wyczerpany, potrzebował lekarza. Spokojniej już teraz, mniej nerwowo rozważyłem sposoby transportu. Czy nie można by unieść tej bani nad wodę? Przecież nie musiała pływać!

Sprawilem, że się to stało, i kilka metrów nad grzywaczami, bo wyżej nie miałem odwagi jej unieść, kazałem jej przesuwać się z umiarkowaną szybkością ku Bermudom. Byłem zdecydowany doprowadzić tak Jamesa pod drzwi jakiegoś domu i osadzić tam na chodniku, nie dbając już o to, jak nieprawdopodobne wydałoby się to mieszkającym tam ludziom.

Zwiększyłem szybkość kuli do około dwustu kilometrów na

godzinę, sądząc z uciekają-cych wstecz białych grzebieni. W ciągu pół godziny powinien się znaleźć na archipelagu. Śledziłem bacznie morze, by nie dopuścić do zderzenia z lądem czy ze skałą lub z dużym statkiem. Istotnie, w smugach deszczu przesunął się frachtowiec ciężko sztormujący. Wątpię, czy w ogóle mógłby wziąć rozbitka z wody.

Niebezpieczeństwo czaiło się jednak zupełnie gdzie indziej. Dostrzegłem je w chwili, gdy zamajaczył już niski brzeg i gdy począłem zmniejszać szybkość kuli. Sunęła nie szybciej od helikoptera, zbliżając się ukośnie do brzegu, gdzie starałem się wypatrzeć jakieś osiedle. Zwróciłem uwagę na poruszenie wewnątrz kuli. Spojrzałem. James zbudził się ze snu, zresztą trudno powiedzieć, czy odzyskał pełną świadomość. Oburącz trzymał się za gardło i chwycił powietrze szeroko otwartymi ustami, rozpaczliwie i łapczywie jak ryba wyrzucona na piasek.

Umiera! Poczulem skurcz serca. Głowę wypełnił mi chaos gorączkowych myśli, a w następnej chwili zostało tylko poczucie straszliwej bezradności. Cóż mogłem tu pomóc nie będąc lekarzem... Trwałem jak sparaliżowany nie mogąc oderwać spojrzenia od nieszczęsne-go żeglarza. Ginał w moich oczach. Dusił się... Pojąłem i fala gorąca spłynęła mi do serca. Tlen wyczerpał się w zamkniętej bani!

Dość jeszcze miałem przytomności umysłu, by najpierw opuścić ją ze znacznej wyso-kości na fale, a potem dopiero kazać rozwijać się szklistej otoczce. Wichura i piana znowu z całą siłą uderzyły w rozbitka. Słona woda wypełniła ponton. Ale James znowu oddychał!

Zmrożony kolejnym ciężkim głupstwem, jakie popełniłem, pomyślałem, że lepiej było zostawić Jamesa własnemu losowi niżeli tak mu pomagać. Bo czy nie maltretowałem go moimi pomysłami ratunkowymi bardziej niż to czyniło rozszalałe morze? Do czegoż mógł się przydać posłuszny mi kask i moje najlepsze chęci, skoro nie wiedziałem — jak? Bezsilność i zniechęcenie opanowały mnie na długą chwilę. Przekonany, iż trzeba pożegnać się z kaskiem, którego użycie przekracza moje siły, zdolności i wiedzę, zmusiłem się do zakończenia tego przynajmniej zadania.

I dopiero teraz zrobiłem to, co należało od razu uczynić. Wyobraziłem sobie półkolistą osłonę, o kształcie nie domkniętego pierścienia, otaczającą dinghy, zanurzoną w morzu i wznoszącą się

kilkanaście metrów nad nim. To wreszcie działało jak należy. Przekonałem się o tym widząc wytryski fal bijących o przezroczystą jak szkliwo zaporę gejzerami wysokości wielu pięter. Wewnątrz, jak w zacisznym basenie portowym, natychmiast znikły grzywacze, gdyż wiatr tu nie wpadał, gwizdząc tylko górą.

To było najważniejsze. Rozbitek nie był już zalewany pianą i przewiewany wichurą. Samo kołysanie, które osłona nie całkiem tłumiała, niczym mu nie groziło. Miał jednak niespożyte siły, skoro nie zmógł go nawet mój ostatni wyczyn! Odzyskawszy oddech zdołał prze-wrócić się na brzuch, jakby chciał patrzeć przed siebie, i tak znowu zasnął, z opartą na burcie twarzą. Pozwoliło mi to odczytać napis na plecach jego bluzy sztormowej: „James” i to mnie upewniło, że ratuję istotnie tego, o którym donosiło radio. Ścierpłem na samą myśl o tym, co by mnie czekało, gdyby te ukośne litery głosiły na przykład: „Stan Brown”! Przecież po odstawieniu go do brzegu musiałbym natychmiast zaczynać następną akcję ratunkową, wiedząc, że na morzu jest jeszcze James. A na to nie miałem już siły. Zresztą na ten wieczór straciłem całą wiarę w siebie...

Niewiele pozostało do zrobienia. Fale tłukły o skały osłaniające wejście do głęboko wciętej zatoki. Za osłoną przyładka czy raczej półwyspu ujrzałem chwiejące się maszty jachtów stojących w przystani. Na wysokim brzegu półkolem ułożyły się domy. Słońce, opadając ku zachodowi, przebiło się jakąś szczeliną przez powłokę chmur i wśród ponurego, granatowego mroku zapaliło czerwone błyski w szybach.

Dinghy za półkolistą osłoną wsunęła się do ujścia zatoki, a gdy była już dobrze chroniona brzegiem, zlikwidowałem osłonę. Pozostawioną samej sobie łódkę pewnie by wiatr wypchnął znów na morze, ale wbrew jego potężnym wciąż podmuchom doprowadziłem ponton do wąskiej plaży i osadziłem poza linią przyboju. Nie dbałem już o to, czy się to wyda ludziom nieprawdopodobnym przypadkiem, czy nie. Kilku mężczyzn nadbiegało od strony domów. Zapewne zresztą obserwowano zatokę z wielu okien, bo liczne drzwi się otwierały i okutane sylwetki, kulące się przed wiatrem, schodziły ku morzu. Oczekałem do chwili, gdy James został dźwignięty i zaniesiony do najbliższego budynku. Nie byłem w stanie towarzyszyć mu dalej.

Najprędzej jak mogłem, zerwałem kask z głowy. Nie pamiętałem,

bym przeszedł kiedy przez podobną łaźnię! Czułem się jak zbity, jak po ciężkiej chorobie. Najbardziej jednak do-legała mi myśl, że nie daję sobie rady, że mimo całego zapału, ufności w swoje siły, nie pano-wałem w pełni nad wydarzeniami. Zwątpiłem w siebie. Była druga w nocy. Z ciężkim sercem usnąłem dopiero koło trzeciej.

Rano zbudziłem się późno, z ołowianą głową. Wyciągnął mnie z łóżka Hubert, bo pewnie bym spał do południa. Zwlokłem się zmęczony, jakbym to ja był rozbitkiem wycią-gniętym z morza, i długo musiałem tłumaczyć mocno podejrzliwemu Hubertowi, że nie jestem chory. Jak bardzo ciążyła mi w tej chwili tajemnica! O ileż byłoby łatwiej robić to samo z kimś drugim. Móc się naradzić, zapytać. A jednak nadal to wykluczałem. Zbliżając się noga za nogą do szkoły, odczuwałem cały ciężar samotności. Pocieszyłem się, że widocznie tak być musi. Czytałem gdzieś przecież, że wszyscy, którzy chcą dokonać naprawdę znako-mitych czynów, skazani są na samych siebie.

Zaś myśl o rozwiązaniu zagadki Trójkąta Bermudzkiego wywietrzała mi zupełnie z gło-wy. Trochę było w tym i odrazy do tego obszaru, na razie nie miałem ochoty oglądać go po raz wtóry. A przy tym zdałem sobie sprawę, jak olbrzymie może to przedstawiać zadanie. Konieczne by były obserwacje morza i dna morskiego, statków i samolotów, celem złowienia tego właśnie momentu, gdy ujawnia się niebezpieczeństwo i może jego przyczyna. Na to cza-su nie miałem. A i dla przyszłości świata nie miało większego znaczenia to, co się dzieje na tym niewielkim obszarze. Zagadka mogła poczekać na rozwiązanie i innym sposobem. Rozstałem się z nią bez żalu.

Nie wiem, czy wytrwałbym na lekcjach do ostatniej godziny, gdyby nie to, co zdarzyło się na matematyce, przywracając mi ochotę do życia. Ale po kolei, przedtem miałem osobli-wą rozmowę ze Słoniewskim — Słoniem, kolegą z mojej klasy. Oto w skrócie jej przebieg.

Podczas dużej pauzy wyszedłem ze smętną miną na podwórze, kiedy Słoń zniecka palnął mnie pięścią w ramię i jakby nigdy nic, rozkazał:

— Zasuważ na róg i kup mi hamburgera, bo zapomniałem wziąć śniadanie z domu.

— Ani mi się śni! — odparłem oddając mu uderzenie, nawet niezbyt zdziwiony rozka-zem, gdyż Słoń znany był z tego, że się wysługiwał innymi.

— Pójdiesz! — ścisnął mi łokieć.

— Nie widzę powodu — opierałem się nadal.

— Ja tak chcę, rozumiesz? — syknął mi do ucha i zakończył łaskawie: — Ostatecznie, pozwalam ci iść ze mną...

Niechby to Słoń dostał mój kask w swoje łapy! — pomyślałem ze zgrozą. Ładnie byśmy wszyscy wyglądali! W końcu wyszedłem z nim na ulicę, bowiem przypomniała mi się rozmowa z Kędzią i zaciekało mnie, co z kolei Słoń miałby do powiedzenia w tej sprawie, jedynej, jaka mnie naprawdę teraz zaprzętała.

— Wiesz? — zacząłem niewinnym tonem, gdy uszliśmy kilkanaście kroków. — Czyta-łem takie opowiadanie fantastyczne o aparacie, którym na odległość można było wykonać, co się tylko zechciało.

— To znaczy, co? — Słoniewski chwycił przynętę,

— Na przykład spowodować ukazanie się w innym mieście napisu na murze, albo zmianę koloru samochodów.

— Ja bym... — podjął natychmiast z błyskiem w oku — zamienił na całej Marszał-kowskiej płyty chodnikowe w złoto!

Skrzywiłem się, to już było nudne. Czy moi koledzy nie mieli w głowie nic innego?

— Po co? — rzekłem z pogardą i wzruszeniem ramion. Nie odgadłem jednak, co naprawdę ożywiało wyobraźnię Słonia.

— Bracie! Stańbym u nas na balkonie — mówił — i tylko patrzył, jak ludzie wariują. Ale byłaby heca! Palcami wyrzywaliby płyty, łamali paznokcie i scyzoryki, wyobrażasz sobie? Wszyscy rzucają swoje siatki z zakupami, teczki, torby, i na kolana! Młodzież, staruszki, matki z niemowlętami, panowie w kapeluszach pełzają na czworakach czerwoni, spoceni... Sprzedawcy wybiegają ze sklepów, zostawiają kasy. Płyt zaraz by zabrakło, więc każdy staje albo siada na swojej, biją się o nie... Kino! Próbują dźwigać je do domu, ale są za ciężkie, wysilają się, przeklinają i płaczą ze złości...

No cóż, czego jak czego, ale fantazji nie mogłem Słoniowi odmówić. Ochłonawszy nieco po tej barwnej wizji, spytałem zdumiony:

— W jakim celu to wszystko?

— Ale ubaw... — jeszcze błyszczały mu oczy — zobaczyć, jak głupieją na mój rozkaz! Mógłbym też polecić — podjął — żeby wszyscy mi się kłaniali: idę środkiem ulicy, po szy-nach, a tu stają tramwaje, samochody zjeżdżają na bok, ludzie czapkują do ziemi, klaszczą, zginają się w pas, zbierają się tłumy, wiwatują — zapalał się Słoń.

Musiał przerwać, bo weszliśmy do baru, ale za chwilę, już z hamburgerem w garści i z pełnymi ustami, snuł dalej swoje wizje, robiąc tylko przerwy dla przełknięcia kolejnego kęsa:

— Mówisz, że tym aparatem można by wywoływać napisy na odległość? W takim razie zostałbym prezydentem, ale nie jednego kraju!

— Jak to sobie wyobrażasz? — zadziwił mnie potęgą swoich marzeń.

— Po prostu, człowieku — zaczął wyjaśniać mi takim tonem, że poczułem pogardę dla własnego ograniczenia i małego ducha. — Gdzie tylko odbywają się wybory, na kartkach pojawiłoby się moje nazwisko.

— Żadna konstytucja... — zacząłem.

— E, tam! — przerwał mi w pół zdania. — Musieliby zmienić... Zresztą niechby sobie miejscowi zarządzili, ja bym tylko przyjeżdżał i odbierał hołdy — nagle zamilkł i zachichotał. — A tobie — zakończył — pozwoliłbym czyścić mi buty! — rzucił to przez ramię i puścił się biegiem po szkolnych schodach, bo zabrzmiał już dzwonek. Z wolna ruszyłem za nim.

Papanicolau wtoczył się do klasy, z zeszytami pod pachą, nie fukając! Poruszał się wo-lniej niż zazwyczaj. Przez całą godzinę nie opuścił katedry, co było u niego rzeczą niezwykłą. Jedyne, wsparty na łokciach, podciągał się wysoko, tak że cały brzuch znalazł się na niej. Zapewne musiał uklęknąć na krzeselku, ale to mogli podejrzeć tylko dwójkowicze wzywani kolejno do tablicy i rozwiązujący nieudane zadania z klasówki. Wracali na miejsca ze swoimi zeszytami. Czekałem, ale nie zostałem wywołany. Zdawało mi się nawet, że Papanicolau unika spojrzenia w moją stronę. Kręciłem się coraz niespokojniej, gdy na koniec kazał rozdać pozostałe zeszyty i — mojego nie było...

Wtedy Papanicolau, przygniatający katedrę jak mors krę lodową, spełził z niej i ku na-szemu zaskoczeniu przesunął się z niezmierną



powolnością do drzwi, w śmiertelnej ciszy, bo brakowało jeszcze dziesięciu minut do dzwonka na dużą pauzę, a nikt w klasie nie pojmował, co teraz na nas może spaść, tak niezwykle było to zachowanie się profesora. Położył rękę na kłamce i rzucił za siebie:

— Cicho mi być! — wysunął się na zewnątrz, zniknął i znów wsadził głowę. — Marek ze mną — usłyszałem.

Powlokłem się pośród wstrzymywanych oddechów i kroczyłem za nim aż do pokoju nauczycielskiego. Nikogo tu jeszcze nie było. Papanicolau wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki mój zeszyt, otwarty w miejscu, gdzie widniało „kaskowe” rozwiązanie zadania, i zaczął mówić:

— Być może wiadomo ci o tym, że niezależnie od moich zajęć w szkole zajmuję się też pracą naukową i od czasu do czasu publikuję coś z dziedziny teorii pola nieciągłego. Od wielu lat współpracuję z moim kolegą uniwersyteckim, słynnym matematykiem, profesorem Bałukiem...

Zawiesił głos, więc sądząc, że teraz moja kolej, potaknałem. Nie zwróciwszy na to najmniejszej uwagi podjął:

— Rok temu wpadłem na pomysł pewnego rozwinięcia teorii przekształceń nieciągłych w sposób oryginalny i dający nieoczekiwane perspektywy. Napotkałem w tym jednak znaczne trudności i poprosiłem do współpracy profesora Bałuka. On dopiero, zapoznawszy się z moim pomysłem, uświadomił mi, że idąc w tym kierunku zmierzam nie tylko do rozszerzenia teorii, ale wręcz rozwinięcia nowego obszaru matematyki. Od kilku miesięcy pracujemy nad tym problemem... Nie będę wnikał teraz w szczegóły, dość jeśli ci powiem, że sytuacja jest paradoksalna i denerwująca, no, ale znana matematykom. Wiemy, o co nam chodzi, intuicyjnie wyczuwamy, że problem jest możliwy do rozwiązania, ale nie umiemy jeszcze nadać mu kształtu matematycznego. Próby kończą się niepowodzeniem i ostatnio, jak się okazało, zabrnęliśmy w coś w rodzaju ślepej uliczki. Byłem już nieco zniechęcony i postanowiłem na-wet odłożyć tę pracę na kilka miesięcy, by powrócić do niej ze świeżym umysłem... Jednego jesteśmy obaj pewni z profesorem Bałukiem: rozwiązanie problemu będzie oznaczało przełom w matematyce, którego znaczenie trudno jeszcze ogarnąć. Dla przykładu, prawdziwa rewolucja zaszłaby w zastosowaniach matematyki związanych z teorią informacji, umożliwiając zapewne

budowę maszyn liczących na nowych zupełnie zasadach, niezwykle uproszczo-nych. No, ale to jest dalsza sprawa. Tymczasem, jak ci powiedziałem, nie mogliśmy ruszyć z miejsca. I nagle ten twój zeszyt. Otwieram go, żeby postawić ci dwóję i znajduję — Papanicolau położył tłusty palec na zeszycie — rozwiązanie mojego problemu! Zastosowałeś tu przekształcenie, które jest właśnie tym pomysłem, jakiego mi brakowało. Kluczem, który, mam nadzieję, pozwoli mi zamknąć cały łańcuch dowodzeń. Pierwsze pytanie: czy wiedziałeś, że się tym zajmuję?

— Nie, panie profesorze.

— Drugie: skąd znałeś możliwość takiego rozwiązania? Przecież praktycznie ono je-szcze nie istnieje! W literaturze matematycznej całego świata nie został opublikowany nawet cień pomysłu na ten temat. Skąd ty na to wpadłeś? Przecież, bądźmy szczerzy, masz słabe pojęcie o matematyce, w ogóle. Skąd, pytam?

Pokój wypełnił się gronem nauczycielskim, bo pauza trwała.

— Ale ja nie wiem — wybąkałem cicho.

— Czego nie wiesz? — powiedział łagodnie. — Przecież napisałeś to tutaj, w swoim zeszycie, w czasie klasówki.

— To nie ja...

— Nie ty? — w głosie Papanicolau nie było zdziwienia. — A kto to pisał podrabiając moje kulfony?

Pochyliłem się nad zeszytem z chaosem w głowie, rozpaczliwie szukając jakiegoś tłumaczenia możliwego do przyjęcia.

— To nie pan profesor napisał? — spytałem głupkowato, dla zyskania na czasie.

— Przecież wiesz, że piszę zawsze zielonym atramentem.

Prawda! Zapomniałem. Cyfry miały ten sam czarny kolor, jak te pisane moim długopi-sem. No tak, teraz już nie było sensownego wykrętu. Przez chwilę kołatała mi w głowie myśl: może wtajemniczyć Papanicolau? To mądry człowiek i na pewno by wiedział, może lepiej ode mnie, jaki czynić użytek z kasku. Lecz w następnej chwili odrzuciłem ją, uspokoiłem się i opanowałem. Kask otrzymałem ja, ponieważ tak zdecydowano dla jakichś powodów. Nie należało tego zmieniać.

— To chyba nie ja, panie profesorze... — jeszcze raz spróbowałem.

— Chyba! — zawołał. — Daj spokój tym głupstwom. Podczas

klasówki nikt inny prócz ciebie nie miał w ręku zeszytu, a potem leżał tu, na półce. Więc... skąd ci to przyszło do głowy?

— Nie wiem! — odparłem, tym razem już szczerze i patrząc mu w oczy.

— Jak to, pisałeś nie wiedząc, co robisz?

— Tak mi się wydaje, tak to właśnie...

Zabrział dzwonek oznajmiając koniec pauzy.

— Byłby to jakiś dziwny i niesamowity przypadek, może przebłysk geniuszu? — zakończył Papanicolau okazując najwyższe opanowanie, bo przecież moje tłumaczenie niczego nie tłumaczyło. Kręcił jeszcze z powątpiewaniem głową: — Znasz może kogoś, kto pracuje nad podobnym problemem?

— Nie znam! — odpowiedziałem jasnym głosem.

— Czy pan profesor chce go jeszcze zatrzymać? — usłyszałem za sobą głos pani od polskiego, właśnie udawała się na lekcję do naszej klasy.

— Nie, nie, proszę, niech idzie! — Papanicolau chwycił mój zeszyt i schował do wewnętrznej kieszeni marynarki. — Wybacz, mój drogi — powiedział — tego już ci nie oddam, to zbyt cenna pamiątka. Myślę, że „Acta Mathematica” opublikują tę stroniczkę z twoimi bazgrołami.

— Ale to naprawdę nie moja zasługa — próbowałem jeszcze go przekonać. — Może telepatycznie pan profesor mi to przekazał? — wpadłem na szczęśliwy pomysł.

Wiedziałem, że nie był wcale przekonany.

Tak wszedłem do historii matematyki, choć na razie wie o tym tylko Papanicolau i dowiedziałyby się ktoś, kto by przeczytał ten pamiętnik. Ale ja tymczasem nie mam zamiaru pokazywać go nikomu. A kiedy zapiszę cały brulion, złożę go w tajemnym sejfie bankowym.

Najważniejsze w tym wszystkim jest jednak stwierdzenie, że okazano w ten sposób gotowość do przekazania nam zdobytej wiedzy posiadanej przez inną, bardziej rozwiniętą cywilizację. I z pewnością najpożyteczniejsza będzie moja rola jako pośrednika. Na dłuższą metę podniesienie poziomu wiedzy i techniki zapewni uratowanie większej ilości rozbitków, niż byłbym w stanie ocalić „osobiście”, zarywając noce. Choć i tego, jak czuję, nie chciałbym się wyrzec. Nie umiałbym spać spokojnie, wiedząc na przykład o

górnikach zasypanych w kopalni i nie robiąc wszystkiego dla ich uratowania przy pomocy tego posiadanego przeze mnie, najdoskonalszego urządzenia ratunkowego, jakie znalazło się w rękach człowieka. A przy tym — powiedziałem sobie — wkrótce nabiorę takiej wprawy, że podobne akcje jak z Jamesem będą mi zajmowały kilka minut...

Dzień w szkole zakończył się zdecydowanie pomyślnie. Rozmowa z Papanicolau podziałała na mnie uskrzydlająco, zapomniałem o niewyspaniu i całej niechęci do siebie samego. Niespodziewaną klasówkę z fizyki napisałem w jednej chwili, ten przedmiot zawsze nie najgorzej znałem. Zaś w domu — znowu dostałem jakby deską po głowie.

Ela wróciła późno, załatwiała nadal sprawy Brochwiczów i przy kolacji złożyła sprawo-zdanie. Żaliła się na czyjś tam biurokratyczny upór, a potem dodała jakby mimochodem:

— Wyjaśniło się wreszcie, miałam rację, że coś ukrywali. On jest ciężko chory. Ma padaczkę, zdarzają mu się ataki i z tego powodu nie może pracować przy maszynach. Zwolnił się z fabryki.

— Nie rozumiem — odezwał się Hubert — dlaczego mieliby to ukrywać? Przecież tym bardziej należy mu się przyzwoite mieszkanie.

— Im się wydawało, że jako niepracujący traci prawo do tego. Fabryka daje mu inne, bezpieczniejsze zajęcie, ale on się uparł i na razie odmawia.

Nie słuchałem dalszej rozmowy. Wyniosłem się do siebie, powtarzając w duchu, że wiem już teraz, co znaczy: czuć się jak zbity pies. Brzmiały mi w uszach moje własne słowa: „jakieś krzyki, łomot mebli, pełno u nich butelek od wódki...” Jakże byłem wdzięczny Eli, że nie oparła się na mojej opinii, lecz sama sprawdziła!

Gdy nieco ochłonałem, lecz wciąż głęboko przejęty tak jaskrawo dowiedzioną omylnością mego wniosku, beztroską, z jaką o mało co nie zaszkodziłem niewinnym ludziom, zacząłem się zastanawiać, jak mój postępek oceniono tam, w Centrali — tak zacząłem nazywać, na własny użytek, ów nie znany mi ośrodek kierujący zdalnie działaniem kasku. Bo że wiedziano tam dokładnie, co zrobiłem, nie miałem wątpliwości.

W jakich kategoriach tam rozumowano? Może były tam tylko maszyny, komputery, myślące z żelazną lub raczej elektroniczną

logiką? Jak im przedstawiała się ta moja nieszczę-sna akcja? A więc po kolei: niejaki Marek M. z otrzymanych informacji wzrokowych chce odtworzyć przebieg zakończonego już wydarzenia. Co dzieje się w jego mózgu?

Informacja wstępna: Mężczyzna leży na podłodze.

M. ocenia ją: Zachowanie nietypowe dla osobnika rodzaju ludzkiego.

I wnioskuje: Skoro nietypowe, może kryć w sobie zagrożenie.

Postanawia: Zebrać więcej danych, by rozpoznać przyczynę.

Gromadzi je: Zamknięte oczy mężczyzny, chorobliwy oddech, kobieta z twarzą ukrytą w dłoniach, wyrażająca tą pozycją głębokie zatroskanie.

I analizuje: Informacje potwierdzają pierwotną ocenę — mężczyzna wykazuje bardzo poważne odchylenie od normy zachowania.

Rozpoznaje: Groźna utrata kontroli nad zachowaniem i pozycją ciała.

Postanawia: Określić przyczynę — zachorowanie? ogłuszenie przez napad? oszołomie-nie alkoholowe?

Gromadzi dalsze fakty: Suteryna, puste butelki (po wódce)...

One budzą skojarzenie: Sytuacja podobna jest do scen pijackich czasem opisywanych z suteryn.

Ostatecznie wnioskuje: Mężczyzna jest oszołomiony alkoholem.

No, tak — powiedziałem sobie. — Prosta sprawa, niejaki Marek M. wyciągnął fałszywy wniosek, opierając się na niepełnych danych. Suteryna nie jest specyficznym miejscem służącym osobnikom rodzaju ludzkiego do spożywania alkoholu, tak jak na przykład są nimi bary. Pusta butelka po wódce nie jest dowodem wypicia wódki w ogóle, a niekoniecznie przez czło-wieka, który w jakiejś chwili znajduje się w pobliżu tej butelki. Marek M. oparł swoje rozumowanie na przypuszczeniach. Przyjął za pewną pierwszą hipotezę, jaka mu się nasunęła. Nie zastanawiał się nad skutkami, jakie może spowodować. Stąd już prosty wniosek: albo jest niezdolny do obiektywnej oceny informacji i logicznego rozumowania, albo świadomie, z pominięciem logiki, sam wyprodukował informację fałszywą. To ostatnie musiał zrobić dla jakiegoś celu. Zresztą obojętne

— czy celowo, czy przez nieudolność, jego informacja jest zdecydowanie szkodliwa. Trzeba więc odebrać mu możliwość działania.

Przez chwilę byłem głęboko przekonany, że gdy zbudzę się rano, nie będę już posiadał kasku. Ale szczęśliwie przypomniałem sobie, że przecież używałem go już po dostarczeniu Eli tej oszczerczej wiadomości o Brochwiczach. Z tego wniosek, że Centrala miała dla mnie wiele wyrozumiałości. Może ustalono jakiś okres próbny? Gdybym tylko wiedział, jak długi!

#### 4.

I znowu kilka dni upłynęło bez zanotowania słowa! Muszę to nadrobić. Kolejność spraw już trochę mi się myli, ale to nie jest najważniejsze. Zacznę od drobiazgu, od szyn tramwajowych. Poświęciłem im uwagę, choć obiecywałem sobie nie tracić czasu na sprawy o niewielkim znaczeniu. Zapomniałem o tym. Rozmawialiśmy z Adamem przez telefon. Miejska pod Warszawą, na wsi, w Gierychowie, gdzie mieści się ośrodek badawczy Akademii Nauk. Adam zajmuje się fizjologią roślin. Często dzwoni do nas, żeby prosić o załatwienie mu czegoś. Tym razem też prosił mnie o zakupienie kilku rzeczy. W niedzielę miał po nie przyjechać.

Bardzo źle go słyszałem, w słuchawce buczało, odzywały się echa innych rozmów, a na domiar złego pod naszymi oknami zaczęły przejeżdżać tramwaje, jeden za drugim, zebrało się ich całe stado i tak łomotały o szyny na tym odcinku ulicy wybrukowanym kocimi łbami, że przestałem cokolwiek słyszeć. Krzyczeliśmy obaj, ja ogłuszony lawiną żelaza, zatykałem jedno ucho i próbowałem nakryć głowę poduszką. Nim zdołałem zanotować życzenia, połączenie się przerwało. Zadzwonił po półgodzinie, dodzwoniwszy się z wielkim trudem, i dogadałiśmy się jakoś, korzystając z chwili spokoju.

Zaś ja, przypomniawszy sobie o specjalności Adama i będąc jeszcze pod wrażeniem mojego matematycznego odkrycia, spytałem:

— Pamiętasz, co mi mówiłeś, że wojny się skończą, kiedy skończy się z głodem?

— No, może nie tylko dlatego, ale to ważna przyczyna. A o co ci chodzi?

— Chciałem o tym pogadać i o tych roślinach, co same wytwarzają sobie nawozy.

— To nie tak! — roześmiał się. — Pokręciłeś.

— Może... — przyznałem zgodnie. — Daj mi coś do przeczytania na ten temat.

Nie słyszałem już odpowiedzi, bo znowu zagłuszył ją piekielny łomot tramwaju. Drżały od niego szyby i podłogi. Kiedy ustał, w słuchawce znów rozległ się urywany sygnał brzęczy-ka.

Adam usłyszał jednak moje pytanie i w kilka dni później dostarczył mi numer „Kosmo-su”, w którym był jego popularny artykuł o odżywianiu się roślin. Wspominam o tym, by utrwalić dla potomnych tę chwilę, kiedy narodził się pomysł mojej kolejnej akcji. To jednak dalsza sprawa. Najpierw skończę historię z tramwajami. Wściekły, postanowiłem rozprawić się nieodwołalnie z nimi, to znaczy z hałasem.

Zastanawiałem się, w jaki sposób przekazać moje żądanie, by zostało jednoznacznie zrozumiane, bez żadnych omyłek. Po ostatnich przykrych doświadczeniach chciałem być tak logiczny i ścisły, jak by to tylko potrafił komputer. Wymyśliłem, patrząc przez okno na ulicę, gdzie przesuwają się ryczące potwory. Wytrenowałem wywoływanie tych obrazów nawet przy otwartych oczach i jeszcze bez kasku na głowie.

Najpierw pędzący tramwaj i stukot żelaza. Przekonałem się, że i sam hałas doskonale umiem sobie wyobrazić — wiernym echem odzywał mi się w mózgu. Następnie widok okrągłego ekranu, po którym szaleńczo skacze świetlna linia, kreśląc spiczastą sinusoidę. To miało być graficzne wyobrażenie fali dźwiękowej. Z kolei znowu wóz tramwajowy, lecz tym razem toczący się tak miękko, jakby jechał po szynach gumowych. Sunął szybko i cicho, gładko i bez wstrząśnienia. Tak długo to trenowałem, aż jeżdżące mi w głowie pojazdy przepływały na każde zawołanie, bezszelestnie niby gondole po weneckim kanale. I zaraz potem znów wykres na ekranie, lecz tym razem sinusoida ledwo, ledwo zaznaczona, bliska linii prostej, jak daleki horyzont morza pulsujący ledwo dostrzegalnym ruchem. Tak niski miał być poziom dźwięku.

Według tego planu polecenie przekazałem kaskowi. Transmisję wyobrażeń poprzedzi-łem dokładnym wskazaniem miejsca, o które mi

chodzi. Obraz mojego balkonu, pusta skrzyżnia na kwiaty i przez metalowe pręty widok skrzyżowania z torami. Obok nich, na słupku, nazwa poprzecznej ulicy.

Gdy już zakończyłem tę pracę i czekałem na wynik, przyszło mi do głowy, że należało-by od razu naprawić sieć komunikacyjną w całej Warszawie. Nie ograniczać się do troski tylko o własne uszy. Uznałem jednak, że byłoby to za duże ryzyko. Gdyby się okazało, na przykład, że zastosowano jakąś doraźną metodę, choćby właśnie szyny gumowe, które po kilku przejazdach by się rozsypały, bo przecież zapomniałem przekazać informację o wymaganej trwałości — co by wtedy się stało? Cały ruch miejski sparaliżowany! I nie wiadomo wcale, czybym to zdołał tak łatwo odrobić. Okazało się jednak, że obawy były niepotrzebne. Tam rozumowano prawidłowo. Gorzej tu, na Ziemi.

Czekałem dość długo, a gdy upłynęło dobre dziesięć minut i kolejne tramwaje przejeżdżały z takim samym hałasem, włożyłem płaszcz i zbiegłem na dół. Stałem tam na chodniku i patrzyłem w szyny, pragnąc uchwycić chwilę ich przemiany. Ze skupienia wyrwał mnie chichot za plecami. Odwróciłem się jak oparzony. Zośka z przyjaciółką przyglądały mi się złośliwie. Już otwierały usta, żeby powiedzieć coś bardzo dowcipnego na mój temat, gdy usłyszałem to trzeszczenie. Kątem oka złowiłem ruch ziemi, a zarazem poczułem chłód ogarniający mi stopy, jakby oblała je lodowata woda. Nie zatraciłem się ani na sekundę i mogę powiedzieć, że zachowałem przytomność umysłu, która mnie samego wprawia teraz w podziw. Rzuciłem się do tyłu, pociągając za sobą dziewczyny, a po drodze zatrzymałem starszą panią z pieskiem, idącą właśnie w stronę torów. Nikogo więcej na szczęście nie było w pobliżu. Pani nie zdążyła oburzyć się na młodzież, bo piesek, jedyny oprócz mnie, zorientował się od razu, co się dzieje, i z przeraźliwym jazgotem usiłował na nią wskoczyć. Wzięła go na ręce, a wtedy doszła do nas fala chłodu, którą już wszyscy poczuli.

Temperatura powietrza wynosiła około plus trzech stopni, zaś mróz, który nas ogarnął, oceniam na przynajmniej trzydzieści stopni poniżej zera. Mocno zaszczypał w uszy, a przy oddechu poczuło się kłujące kryształki w nosie. Moja ucieczka od torów, choć niemal instynktowna, nie była bezcelowa i uchroniła nas zapewne od ciężkich odmrożeń. Jak później, stwierdziłem, w obrębie samych



torów musiało być co najmniej minus pięćdziesiąt. Zresztą nie trwało to długo. Dla mnie zjawisko było zrozumiałe, co prawda nie w szczegółach. Prze-kształcenie szyn według mojego zalecenia dokonało się dzięki przebudowie materiału — ze stali na inne tworzywo, poprzez przemiany na poziomie molekularnym, a może atomowym. Proces, sterowany z daleka, miał cechy endotermiczne i wchłonił pewną ilość ciepła z otoczenia.

Wyjaśniłem umiarkowanie zresztą zainteresowanym kobietom, zanim poszły dalej, że elektryczność płynąca w szynach wywołuje prądy błądzące w gruncie, a to bywa przyczyną dziwnych zjawisk. Niewiele z tego pojęły, zresztą bez straty dla siebie, bo moje nieco mętne tłumaczenie dalekie było od prawdziwego. Zośka i Irena zadowolily się nim, ale pani z pieskiem zauważyła, że w pobliżu torów przebiega przecież pod ziemią kanał ciepłowniczy, ogrzewający naszą dzielnicę. Tak się zapaliła do tej myśli, że zaczęła wykrzywiać z podniesionym palcem:

— Tak, tak, to na pewno on wywołał oziębienie!

Nie usiłowałem zrozumieć nawet, w jaki sposób kanał z gorącą wodą ma oziębiać otoczenie. Przekonałem się za to, jak łatwo zadowolić ludzi byle jakim wyjaśnieniem i jak niechętnie zaczynają myśleć, nawet w obliczu niecodziennych zjawisk. To mnie upewniło, że moje intencje będą przyjmowane o wiele obojętniej, niż mi się zdawało, i nie muszę zanadto obawiać się odkrycia związku mojej osoby z takimi wydarzeniami.

Miejsce zbadałem z bliska, gdy znów się ociepliło. W wyniku nagłego ochłodzenia nasiąknięta wodą gleba zamarzała wokół torów. Ostre jak igły szczytki kryształów lodowych podniosły płyty chodnika i wysadziły kocie łby bruku. Ziemia spulchniła się i spęczniała, po czym stężała jak metal. Jej powierzchnia okryła się szronem trzeszczącym pod nogami, który stopniał w ciągu kilkunastu minut.

Tym, co przykuło całą moją uwagę, były szyny. Nie zmieniły kształtu, jedynie kolor, stały się brunatne. Wydały mi się przy tym chropowate jak brzeg rozbitej glinianej skorupy. Gdy się schyliłem nad nimi, zobaczyłem, że utworzone są z porowatego materiału, pełnego otwartych komórek. Bardziej niż do wyszczerbionej ceramiki było to podobne do zakrzepłej piany, wyglądającej — ku memu przerażeniu — na niezwykle kruchą, niezdolną do utrzymania ciężaru wagonów tramwajowych. Przemknęło mi przez myśl, że popisałem

się znowu! Lecz czy istotnie byłem winien? Przecież wskazałem na szynę tramwajową żądając zmiany tylko jednej cechy — hałaśliwości. Więc było chyba rzeczą zrozumiałą, że wszystkie cechy pozostałe trzeba zachować bez zmiany?

Pierwszy tramwaj nadjeżdżał z dużą szybkością, a ja porażony myślą o kruchości szyn pojąłem, iż muszę go zatrzymać, nim dojdzie do poważnej katastrofy. Niewiele się zastanawiając, stanąłem pośrodku torów i zacząłem niby to szukać czegoś zgubionego. Usłyszałem przeraźliwy dzwonek wzywający mnie do ustąpienia z drogi i zaraz po nim zgrzyt hamulców. Wóz wytracił pęd i z szybkością może pięciu kilometrów na godzinę najeżdżał na mnie, nie mając zamiaru się zatrzymać. Odstąpiłem na bok, motorniczy coś tam krzyknął z góry, ale na to nie zwróciłem uwagi. Koła wtoczyły się na przekształcony odcinek szyn i łomotanie obręczy ustało. Brzmiał mi tylko w uszach szum powietrza chłodzącego elektryczny silnik tramwaju. Oba wozy przesunęły się i nie wykoleiły, a gdy mnie minęły, spostrzegłem, że właśnie z przeciwnej strony, z najwyższą szybkością nadjeżdża drugi tramwaj.

Za późno było na jakiegokolwiek działanie. Nadjechał klekocąc i miotając się po torach i nagle, jakby uniósł się w powietrze — zamilkł. Pęd wiatru uderzył mnie w twarz. Już był daleko i już znowu ryczał. Przykleknąłem. Na porowatych szynach nie było najmniejszego śladu wykruszenia, żaden pęcherzyk nie uległ zmiażdżeniu.

Dwie godziny potem, kiedy odszedłem wreszcie od okna, skąd śledziłem dalszy rozwój wypadków, byłem już całkiem przekonany o pełnym powodzeniu. Zaś wieczorem wszyscy w naszym domu wiedzieli, że tory zostały wyciszone. W jaki sposób — nikt się nie zastanawiał. Widocznie „coś” zrobiono.

W MZK zauważono zmianę dopiero następnego dnia. Byłem świadkiem tego wracając ze szkoły. Fiat kontroli ruchu stał przy torach, gramoliło się z niego trzech mężczyzn w barankowych kołnierzach. Oglądali szyny, z trudem przykucając, bo przeszkadzały im brzuchy, a także kozuchy służbowe. Spokojnie nasłuchiwałem za ich plecami.

— Zestarzały się szyny.

— Ich prawo. Ale dlaczego?

— Całkiem przerdzewiały.

— E tam, co pan opowiadasz! Widziałeś pan kiedy, żeby tak wzięło szynę, po której jeżdżą wozy?

— Pan żeś też nie widział, a tu widzisz! Co tu udawać mądrego. Cała jak spróchniała. Położyli jakieś wybrakowane czy co, do licha?

— Nie ma co gadać, wymieniamy, zanim się rozsypią.

— Tymczasem ograniczyć szybkość pojazdów.

— Dzwon pan, niech zaraz przywiozą znaki. I na noc zamówić brygadę torową.

— Znaki to za mało, trzeba tu zrobić dyżur, bo całkiem przegnite.

— Jeszcze tyle poleżą, jak dotąd wytrzymały.

— Weźmiesz to pan na siebie? Bo ja nie zamiaruję.

— A czy ja co mówię? Też chcę święta z rodziną...

Widząc, że moja działalność ma się całkowicie zmarnować, zdecydowałem się przemó-wić do nich.

— Panowie — powiedziałem — one były wczoraj wymieniane. Ja wiem, bo mieszkam tu obok.

Nawet nie odwrócili ku mnie twarzy, ale starszy z mężczyzn, patrząc w szyny, odpo-wiedział:

— Wczoraj? Wykluczone! Niby kto to zrobił?

— Nie wiem — odparłem. — Ale przestały hałasować. Dawniej nie można było wy-trzymać, a teraz nic nie słyszać. Podobno jakiś nowy wynalazek, miało być na próbę.

— Jaki tam wynalazek! — parsknął. — Słyszałeś pan o tym? — spytał towarzysza.

— Ale! — tamten wzruszył ramionami. — Wytarły się, przestały dzwonić i tyle.

— Wcale nie są wytarte! — zaprotestowałem. — I właśnie te wytarte bardziej hałasują.

— Nie mądrzyj się, kolego — upomniał mnie łagodnie.

Wsiedli do wozu nie zwracając już na mnie uwagi.

Wieczorem przywieziono materiały, a około północy, kiedy zjechały ostatnie tramwaje, zaczęto wymianę szyn i hałasy trwały do rana. Budziłem się kilka razy, słysząc brzęk żelaza, pokrzykiwania robotników i widziałem blask reflektorów na suficie. Rano było po wszystkim, bardzo sprawnie to zrobiono. Tramwaje, już normalnie, z piekielnym łomotem przebywały ten odcinek, może nawet z głośniejszym niżli przed wymianą.

Przez chwilę walczyłem z pokusą podjęcia wojny z MZK.

Potrzeba mi było pół minuty, by dokonać dzieła. I mogłem je powtarzać w nieskończoność. Wygrałbym bez wątpienia. Lecz za jaką cenę? Rzecz nie mogłaby przejść tak gładko, jak za pierwszym razem. Wywołał-bym mnóstwo zamieszania, niepokoju, dezorganizację pracy tramwajarzy. Ktoś by musiał stracić posadę, inny za to, że nie umie wyjaśnić, co się dzieje, byłby oskarżony o nieudolność i też pewnie zwolniony... Dałem spokój. Świat nie jest przygotowany do zmian tego rodzaju. Należy — powiedziałem sobie — działać metodami zrozumiałymi dla ludzi i nie uszczęśliwiać ich bez uprzedzenia i zgody.

Ukazały się wzmianki w gazetach o uratowaniu Jamesa Roebucka i w prasie światowej wybuchła z tego powodu prawdziwa burza. Ela przyniosła do domu numer „Paris Match”, gdzie zamieszczono reportaż poświęcony żeglarzowi, ze zdjęciami dobrze znanej mi plaży, gdzie, jak pisano, wbrew wszelkiej logice fale osadziły rozbitka. Ela przetłumaczyła mi całość.

Pisano, że wprawdzie Trójkąt Bermudów wypuścił kolejną ofiarę, ale tajemnica tylko się przez to zageściła. Rzeczoznawcy stwierdzili, że było rzeczą absolutnie wykluczoną, aby rozbitek od miejsca, skąd podał przez radio swą ostatnią pozycję, mógł przebyć w tak krótkim czasie odległość ponad stu mil, przeciwko huraganowi i sztormowej fali, dysponując tylko pneumatyczną łodzią z jednym wiosłem. Tym bardziej że na tych samych wodach znajdował się frachtowiec norweski, „Siowalls”, o wyporności dziesięciu tysięcy ton, który pracując pełną siłą maszyn nie tylko nie zdołał posunąć się naprzód, ale został zdryfowany. Wykluczo-no istnienie jakiegoś prądu, bo ten musiałby nieść i statek. Co więcej, pisano, że radar statko-wy wykrył obserwowane przez kapitana osobliwe echo jakiegoś obiektu, który przesunął się z wielką szybkością, właśnie przeciw burzy i mniej więcej po torze łączącym okolice zatopio-nego jachtu z przystanią na Bermudach.

W tym miejscu podniecenie dziennikarza dosięgało szczytu. Okazało się bowiem, że James Roebuck, gdy się wyspał i przyszedł do siebie, stwierdził, że przez pewien okres był zamknięty w kuli nie przepuszczającej wiatru ani dźwięków morza. Jego opowiadanie wzięto zrazu za wspomnienie halucynacji, jakie musiał przeżywać w stanie skrajnego wyczerpania. Ale teraz, po odebraniu relacji ze

statku, trzeba spojrzeć na to inaczej. A więc jednak — stwierdzał dziennikarz — coś się tam dzieje!

Ta lektura przywróciła mi wszystkie nieprzyjemne uczucia, jakich doznawałem po przeprowadzeniu owej akcji ratunkowej. Nie dość, że o mało sam nie uśmierciłem Jamesa, to jeszcze nie zdołałem się nim zająć w zupełnej tajemnicy. Jeszcze kilka takich akcji i cały świat wpadnie w panikę. Wystarczy, żeby zaczęto mówić o obcej obecności na Ziemi. A co dopiero się stanie, jeśli różne państwa zaczną się podejrzewać nawzajem o posiadanie nie znanych innym broni?

Ze szczególną skrupulatnością zabrałem się do akcji określanej przeze mnie w duchu kryptonimem AZOT. Pierwszych informacji dostarczył mi, jak już napisałem, mój brat Adam. Zjawił się w sobotę wieczorem ze swym artykułem. Chciałem jednak usłyszeć coś więcej wprost od niego. Czyhałem na odpowiednią chwilę, aby zrećnie poruszyć ten temat. Bezwie-dnie Ela przyszła mi z pomocą. Adam krojąc chleb zauważył, że jest on wyjątkowo smaczny. Na co Ela stwierdziła z dumą, że to jej zawdzięczamy, bo chciało jej się stać pół godziny w kolejce do piekarni w sobotę, kiedy najwięcej ludzi kupuje.

— Mogłam kupić w piątek, ale wtedy byście narzekali, że czerstwy.

— Powinni się cieszyć, że w ogóle go mają — obruszył się Hubert.

— No, czego jak czego — powiedziała Ela — ale chleba nie powinno zabraknąć.

— To nie takie pewne — rzekł Adam i porozumiewawczo spojrzął na mnie. — W każdym razie — dorzucił ze śmiechem — Marek już dostrzegł problem i wyraźnie zaniepokojony poprosił o literaturę na ten temat.

— Upraw nie można zwiększać w nieskończoność — wtrącił się Hubert. — Powierz-chnia Ziemi jest ograniczona.

— Ale można zwiększyć plony! — powiedział z błyskiem w oku Adam.

— Ile razy? Dwa? Trzy? — mówił z niewiarą Hubert. — Przecież nie można zasypać pół warstwą nawozów, bo w ogóle nic nie wyrośnie.

— Właśnie o to chodzi — stwierdził z zadowoleniem Adam — żeby nie używać nawo-zów wcale, a plony powiększyć dziesięcio- a

może dwudziestokrotnie.

— Bez nawozów? — Hubert spoglądał z ironią na swego starszego syna.

— Jasne! A do czego służą nawozy? Głównie do tego, żeby dostarczyć roślinom azotu. Gdyby zboża mogły go pobierać same, prosto z atmosfery, skończyłyby się wszelkie kłopoty z żywnością.

— Jak to: same? — nie zrozumiał Hubert.

— Posłuchaj... — odezwała się Ela, jako chemiczka miała tu też sporo do powiedzenia, a i ja przypomniałem sobie co nieco z zeszłorocznego programu biologii. Wspólnymi siłami doksztalciliśmy Huberta, który, będąc z wykształcenia ekonomistą, ostatecznie miał prawo zapomnieć już o tych rzeczach. Zresztą i mnie się przydało uporządkowanie wiadomości, nim zabrałem się do jakiegokolwiek działania.

O tym, że miało ono dotyczyć problemu o podstawowym znaczeniu, nie jakiegoś tam głupstwa, jak szyny tramwajów, świadczyło to, że wszystkie żywe istoty znajdujące się na naszej planecie, zwierzęta i rośliny, muszą pobierać azot. Z ilością tego pierwiastka nie ma kłopotu, w atmosferze jest go więcej, niż mogą zużyć wszelkie organizmy żywe. Nie musiałem się więc obawiać, że spowoduję kosmiczną katastrofę, kiedy nagle zboża „wyłapią” azot z powietrza, co zachwiałoby ogólną równowagę.

Trudności polegają na tym, że wolny azot jest gazem chemicznie obojętnym i bardzo trudno wbudować go w pokarmy. Jednym ze sztucznych sposobów jest wiązanie azotu przez wytwarzanie jego związków, takich choćby, jak azotany czy mocznik, i mieszanie ich z glebą. Stąd czerpie je roślina. Ale znaczna część azotu i tak ulatnia się z gleby i ucieka do atmosfery. Stąd konieczność ciągłego nawożenia pól.

Istnieje jednak wiele organizmów żyjących w glebie i wodzie, zwanych „utrwalaczami azotu”, które pobierają wolny azot z powietrza i tworzą związki organiczne stanowiące pokarm innych roślin i zwierząt. To dzięki temu, a nie nawozom sztucznym, może istnieć życie. Są to niezliczone bakterie i prymitywne rośliny sinice, ciemnozielone, galaretowate glony.

Dowiedziałem się od Adama, że od dawna znana jest bakteria z rodzaju *Rhizobium*, żyjąca na brodawkach korzeniowych roślin strączkowych, takich jak choćby groszek. I ona właśnie potrafi łowić

wolne atomy azotu, po czym dostarcza swym gospodarzom związki azotowe. W tym kierunku idą też, jak mi powiedział, usiłowania uczonych w wielu laborato-riach na świecie. Tym samym zajmuje się kolega Adama, doktor Chramiec, z całym zespołem w Instytucie. Chodzi o znalezienie takiej bakterii wiążącej azot, która zechciałaby żyć na korzeniach pszenicy, żyta lub kukurydzy.

Widząc moje najżywsze zainteresowanie zaproponował, że w niedzielę rano zabierze mnie samochodem do Gierychowa. Będę mógł zwiedzić laboratorium, porozmawiać z dokto-rem... a po południu wrócę autobusem do Warszawy. To mi odpowiadało najbardziej. Miałem tylko wątpliwości, czy doktor zechce ze mną rozmawiać, i do tego w niedzielę.

— O to nie ma obawy! — zapewnił mnie Adam. — On nie widzi świata poza swoim tematem i mógłby mówić o nim do pieca, gdyby piec miał uszy. A to, że niedziela, nie ma większego znaczenia. Mieszkamy tam przy zakładzie i każdy zagląda do swojej pracowni nawet w święta.

Nazajutrz około jedenastej znalazłem się w pracowni doktora Chramca. Jest to mały blondynek o niebieskich oczach, zaskakująco bystrych i twardo patrzących z jego zaokrąglo-nej i rumianej twarzy. Kiedy podawałem mu rękę, a on ścisnął ją, bezwiednie chyba, jak obcęgami, co wzbudziło od razu moje zaufanie do niego, nie wiedział, jak ważną już przezna-czam mu rolę.

Mogłem być sprawcą postępu dzięki kaskowi, ale nie mogłem tego ujawniać. Pozosta-wało mi tylko, tak jak w przypadku Papanicolau, podsuwanie rozwiązań właściwym ludziom. I zależało mi na tym, aby byli naprawdę warci tego. Nie chodziło tu o rozgłos naukowy, jaki mieli osiągnąć tą drogą, ani o sławę, lecz o to przede wszystkim, żeby umieli, chcieli i mogli właściwie wykorzystać podsunięte im odkrycie. Aby je rozwijali, pracowali nadal mimo tej wielkiej zmiany, jaka zajdzie w ich życiu, zachowywali się nadal jak prawdziwi uczeni. Jednym słowem, aby byli ludźmi zdolnymi udźwignąć wielkość odkrycia. Byłoby mi przykro, gdybym stwierdził po pewnym czasie, że uczyniłem wybitnym odkrywcą kogoś, kto zapo-mniał, że to tylko przypadek pozwolił wpaść na odkrycie właśnie jemu. Gdyby działał na przykład dla zyskania rozgłosu czy próbował robić na tym majątek.

Doktor Chramiec nie interesował się, w jakim celu pragnę

obejrzeć jego doświadczenia. Miałem przygotowane dwa zdania na wszelki wypadek o jakimś referacie w szkole, nie musiałem ich jednak użyć. Ledwo coś o tym zacząłem, przerwał mi stwierdzając, że potrzeba wiedzy nie wymaga usprawiedliwienia i to, że ktoś się chce czegoś dowiedzieć, jest już czymś wspaniałym, bo tylko w tym kryje się dla gatunku ludzkiego szansa przetrwania. Bardzo mi odpowiadało to rozumowanie.

Spędziliśmy godzinę w długim pomieszczeniu o oszklonych ścianach, czymś w rodzaju oranżerii, gdzie mimo późnej jesieni panowała temperatura czerwcową. Wpadało tu dużo światła, a pod szklanym stropem wisiał rząd reflektorów zapalanych, jak usłyszałem w nocy, aby proces fotosyntezy nie ustawał, a tym samym trwał nieprzerwanie wzrost roślin, co znakomicie skracało czas doświadczeń.

Obejrzałem długi ciąg okrągłych ceramicznych donic, wypełnionych różnymi glebami, od czarnoziem do piasku i gliny. Kielkowały w nich lub rosły, wydając już kłosa, rozmaite zboża. Na donicach wisiały tabliczki z opisem mineralnego składu gleby, utrzymywanej wilgotności, stosowanych pożywek i, co najważniejsze, z nazwą bakterii, którą doktor Chramiec usiłuje nakłonić do życia na korzeniach rośliny.

Używał różnych określeń: przyzwyczać, zachęcić, oswoić, przystosować. Spostrzegłem, że ani razu nie użył słowa zmusić czy rozkazać. Oczywiście, mikroorganizmu niepodobna zmusić do czegokolwiek, co mu nie odpowiada, tak jak kawałka drzewa nie można „zmu-sić”, by nie spalił się w ogniu. Doktor dobierał tych określeń zapewne nieświadomie, ale to zrobiło na mnie wrażenie i pogłębiło moje zaufanie. Kto jak kto, ale ja już wiedziałem, czym kończą się próby zbyt bezwzględnego przeprowadzania swojej woli.

Spostrzegłem od razu, że rośliny w większości naczyń zaledwie wegetują lub nawet już giną, niektóre od razu po wykiełkowaniu. Sprawiał to głód azotowy. Doświadczenia nie udawały się. Próby trwały od roku. Okazało się, że wszystkie szczepy bakterii, dotychczas osadzane na korzeniach, ginęły. Te same bakterie doskonale żyły i rozmnażały się w symbiozie z innymi roślinami, jak choćby motylkowymi, dostarczając im azotu. Mogłem to stwierdzić własnymi oczami, patrząc na fasole, groszki i łubiny, nie tylko pnące się po tyczkach, ale i kwitnące obficie.



Widząc moją niewyraźną minę — myślałem właśnie o ogromie pracy wykonywanej na próżno — doktor Chramiec, jakby to odgadując, powiedział z wielką pewnością siebie:

— To tylko sprawa czasu i ilości prób. Istnieje zapewne kilkanaście tysięcy gatunków mikroorganizmów zdolnych do wiązania azotu. Przebadaliśmy tutaj zaledwie kilkadziesiąt. Ja mam dość cierpliwości. Chodzi o rzecz zbyt ważną, by pozwolić sobie na niecierpliwość. Z całą pewnością istnieje gatunek, który się przystosuje do życia na pszenicy czy kukurydzy, choć dotąd rozwijał się tylko, przypuśćmy, na afrykańskiej trawie stepowej. Zresztą nie tylko ta ilość obiecuje wyniki. Jest jeszcze bardzo wiele dróg działania. Być może, wystarczy zmie-nić trochę własności samych zbóż? Kto wie, czy jakaś nowa odmiana żyta nie nadaje się lepiej do takiej symbiozy niż dotychczas znane? Może właśnie ona spodoba się bakteriom! — Mówił z zapalem, a nagle przyciszył głos, jakby chcąc mi zawierzyć ważną tajemnicę: — Działamy jeszcze w innym kierunku, próbujemy napromieniować bakterie, a także i nasiona zbóż, żeby zmienić ich kod genetyczny. W ten sposób może powstać organizm o nowych właściwościach, nam potrzebnych — pociągnął mnie za łokieć do końca oranżerii, by poka-zać donice, gdzie zasiano zboże właśnie z takich napromieniowanych zarodków.

Rozmowa się urwała, gdyż pojawił się Adam nadchodząc od strony bloku mieszkalnego i powiadomił nas, że obiad jest na stole. Doktor Chramiec też był zaproszony. Gdy szliśmy po schodach, wydawało mi się, że wiem dokładnie, co robić. Nic prostszego, jak przebudować jedną z bakterii. Powinna nie tylko łowić azot z powietrza, ale i rozmnażać się wyjątkowo chętnie na korzeniach zbóż.

Wyobraziłem sobie zdumienie i radość doktora, gdy pewnego dnia wejdzie do laborato-rium i zobaczy, jak marniejące z niedożywienia, wątłe źdźbła nagle wystrzeliły, wyprostowa-ły się, odzyskały zdrowie. I to jakie! Wkrótce zakwitłyby nie gorzej od łubinu i wydały ziarna wielkie jak fasola. Reszta byłaby już dziełem zespołu doktora. Wyodrębnienie bakterii, opisa-nie jej, rozwinięcie hodowli, założenie pól doświadczalnych, już nie w donicach, ale pod niebem i na dużej przestrzeni...

Jeszcze wróciliśmy do tego tematu przy herbacie i doktor powiedział coś, co zmieniło nieco moje plany. Adam zażartował:

— Nawożenie pól to prawdziwe wyrzucanie pieniędzy w błoto.

Dosłownie, bracie! Rozsiewa się miliony ton nawozów azotowych, co kosztuje mnóstwo pieniędzy i przekracza możliwości finansowe najbiedniejszych krajów. Właśnie tych, które najbardziej potrzebują tańszych i obfitszych zbiorów. I znaczna część nawozów nie jest przyswajana, spływają z pól i na dodatek zatrują wody. Jeśli ci się to uda... — zwrócił się do doktora — to będzie coś naprawdę wspaniałego!

— Będzie! — potaknałem gorąco, ja już uważałem za pewnik, o czym oni tylko marzy-li.

I wtedy doktor, jakby trochę nieobecny myślami, ocknął się i powiedział:

— Prawdziwym osiągnięciem byłaby taka przebudowa genów nie bakterii, ale zawar-tych w nasieniu, ażeby pszenica sama czerpała atomy azotu z powietrza. To byłoby rozwiąza-nie wszystkich problemów żywnościowych, jakie nas gnębią!

Z tymi słowami kłębiącymi się w głowie wracałem do Warszawy autobusem. Postano-wienie podjąłem. Pozostawało tylko znalezienie sposobu przekazania informacji kaskowi. Wróciłem niezbyt późno do domu i musiałem złożyć sprawozdanie Hubertowi z wizyty w Gierychowie. Mówiłem z zapałem o doświadczeniach doktora, tym większym, im większe powątpiewanie malowało się na twarzy Huberta. Sądziłem, że odnosi się ono do wyników pracy, więc przekonywałem go coraz bardziej podniesionym głosem. Ostatecznie, ja wiedzia-łem, że wszystko się uda, i to prędzej, niż nawet doktor o tym marzył. Wreszcie musiałem zaczerpnąć oddechu i Hubert doszedł do głosu.

— Zgoda — powiedział — masz rację. Prędzej czy później to zrobią. Jeśli nie Chra-miec, to inny uczony, pracują nad tym na całym świecie. I na pewno będzie wtedy więcej chleba. Ale niech ci się nie zdaje, bo to naiwna wiara, że nauka i technika rozwiążą wszystkie problemy, które same stworzyły...

Rozeszliśmy się do swoich pokojów. Usiadłem nad stosem powymowanych z pólek podręczników, aby zapoznać się z chemiczną stroną asymilacji azotu, i wtedy dopiero dotarła do mnie treść tego, co powiedział Hubert. Miał rację, niestety. A już mi się zdawało, że znalazłem receptę na wszystkie dręczące ludzi powikłania. Należało jasno sobie powiedzieć, że nie wystarczy sama

produkcja wynalazków i genialnych odkryć. One były niezbędne, to prawda, ale pojawiając się nie tylko rozwiązywały problemy, lecz jednocześnie stwarzały całą lawinę innych, dotychczas nie znanych.

Jako doskonały przykład przyszła mi na myśl historia buł manganowych. Tak mocno podziałała kiedyś na moją wyobraźnię, jak rzadko który kryminał, że przez dłuższy czas śledziłem pilnie publikacje dotyczące tej sprawy.

Zaczął się od kilku wynalazków technicznych: ktoś udoskonalił kamery telewizyjne do oglądania dna morskiego, ktoś inny skonstruował sondy ultradźwiękowe, radarowe i sejsmiczne. Cousteau i Beebe zbudowali i wypróbowali aparaty do nurkowania i pracy na dowolnej głębokości. Z początku same zachwyty. Jakież to daje możliwości badania oceanów! Ludzkość sięgnie pod wodę, tam znajduje się wszystko, czego jej potrzeba! Możemy spać spokojnie — i tak dalej!

Potem te urządzenia zaczęły pracować i dały pierwsze wyniki. Okazało się między innymi, że dna oceanów zasłane są jak kartoflami kulkami złożonymi z manganu, miedzi, niklu i kobaltu. Obliczono ilość tych metali. Jest ich tyle, że wystarczy światu na sto tysięcy lat. Wywołało to jeszcze większe uniesienia. A gdy w 1974 roku francusko-amerykańska operacja „Famous” odkryła, że denne rowy tektoniczne kryją skupiska żelaza, złota, srebra, chromu, niklu i ołowiu, zaczęto się po prostu zachłystywać naszą wspaniałą i szczęśliwą przyszłością. A dodanie do tego uranu — cztery miliony ton w wodach morskich, ropy pod dnem morza — miliardy miliardów ton, a jeszcze jest przecież do wykorzystania energia przypliwów i odpływów morza i jest wreszcie białko! Fantastyczna, nadziana oszczędnościami pończocha, nagle odkryta przez ludzi! Przyszłość będzie tak gładka po prostu, jak senne marzenie:

Wtedy padło pytanie. Do kogo to należy? I jeden kraj po drugim zaczyna wprowadzać dwustumilową strefę gospodarczą wzdłuż swoich wybrzeży. Rekwiruje się obce statki łowiące na tych wodach, zaczyna instalować systemy alarmowe. Zaś kraje nie mające dostępu do morza — pięćdziesiąt dwa w sumie — też chcą wsadzić rękę do pończochy, bo to nie ich wina, że mają niekorzystne położenie.

W tym miejscu skończyły się marzenia i nadzieje, zaczyna się gigantyczne zamieszanie. I wcale nie od postępu techniki zależy, czy narody zdołają się porozumieć w tej sprawie.

Jasno pojąłem, że powinienem coś zrobić także i dla przygotowania ludzi, którzy zdolni by byli widzieć dalej niż koniec własnego nosa.

Ledwo zacząłem czytać o własnościach chemicznych azotu, z powrotem zatrzasnąłem książkę. Doszedłem do wniosku, że dogłębne studiowanie problemu przeze mnie i tak mija się z celem. O naprawdę „dogłębnym” nie ma mowy, a nawet i średnia znajomość rzeczy nic tu nie pomoże, raczej może zaszkodzić. Gdybym dał zbyt szczegółowe wskazówki co do sposobu asymilacji azotu — według moich wyobrażeń — wykonano by je może nawet i ze skutkiem, ale czy najlepszym z możliwych? Za mało wiedziałem, żeby narzucać choćby ogólny kierunek rozwiązania. W końcu chodziło tu o coś z dziedziny inżynierii genetycznej, o przebudowę materiału dziedzicznego, a więc o coś, co dopiero zaczynamy sobie wyobrażać na Ziemi jako możliwe w nieokreślonej przyszłości. Do mnie powinno tylko należeć postawienie problemu w sposób zrozumiały.

I tak też zrobiłem.

O godzinie 21.00 miałem już kask na głowie i kilka minut później oglądałem hodowle doktora Chramca. Pod szklanymi dachami było jasno jak w dzień. Mysz przebiegła po beto-nowej podłodze. Odprowadzałem ją wzrokiem. Przycupnęła u stóp jednej z glinianych donic i poczęła gryźć kilka rozsypanych ziaren. Tak wskazała mi właściwe miejsce. Kartka przypięta do donicy mówiła, że tu właśnie w dniu wczorajszym wysiano pięćdziesiąt ziaren pszenicy odmiany PB 75, spreparowanej i napromieniowanej według schematu II. O to mi chodziło. W ciągu kilkunastu godzin ziarna nie mogły jeszcze wykiełkować. Sądziłem, że łatwiej jest zmienić kod genetyczny w komórkach samych zarodków lub raczej w zarodku jednego ziarna niż u wyrosniętej już rośliny, którą od dawna obserwowano. Nagła zmiana w jej procesach życiowych byłaby tak trudna do zrozumienia, że wywołałaby całą serię niepotrzebnych ba-dań. Zbyt jawnie graniczyłoby to z cudem.

Wpatrzyłem się w wilgotny piasek, czyste okruchy kwarcu, zupełnie wyjałowione, aby nie dostarczać żadnej pożywki roślinie. Pewne składniki, jednak z wyłączeniem azotu, otrzy-mywała w płynie, jak to już wiedziałem od doktora Chramca. Przeniknąłem w głąb piasku i ukazały mi się ziarna ułożone w plastikowej kratce,

każde w swoim kwadracie z numerem. Już były spęczniałe od ciepła i wilgoci, ale jeszcze nie pękające nawet, by wypuścić kielki. Była to więc właściwa chwila, żeby dokonać ulepszenia.

Moją instrukcję przekazałem następująco: aby dać do poznania, że chodzi mi o pier-wiastek azot, postanowiłem wyobrazić sobie tablicę Mendelejewa. To jednak okazało się zbyt skomplikowane. Ze zbyt wielu elementów się składa i całości nie mogłem sobie wyobrazić. Poprzestałem więc na jej nazwie: okresowy układ pierwiastków. Wyobraziłem sobie kolejne litery, przesuwaną się jak w ruchomej gazecie. Następnie zamierzałem wywołać obraz trzech pozycji z tabeli: Azot i towarzyszące mu z obu stron Węgiel i Tlen. Nim to uczyniłem, osłona kasku już się rozjarzyła i ujrzałem przed sobą tablicę ułożoną ze świecących znaków. A więc już wyobrażenie samego napisu przyjęto jako moje polecenie. Skoro tak, pozostało mi tylko wskazać pierwiastek. Odnalazłem złociste symbole: 7 N 14,0067, Azot. Liczba atomo-wa ani masa nie były potrzebne do dalszego porozumienia.

Wpatrzyłem się w symbol N, dając do poznania, że o ten pierwiastek mi chodzi, gdy zaszło coś nieoczekiwanego, ale oczywiście logicznego. Wizerunek litery przemienił się w model atomu. Rzecz jasna, nie przypominał żadnego z tych modeli, jakie mamy w szkole, zrobionych z kolorowych kul drewnianych, nadzianych na druty.

W ciemnej przestrzeni drgały i przesuwały się połyskliwe bańki jak gdyby mydlane. Większość była połączona po dwie, sunęły parami, stykając się powłoką. Domyśliłem się po pewnym czasie, że pokazano mi azot w powietrzu, tak jak występuje w tej mieszaninie ga-zów, najchętniej w układzie po dwa połączone atomy. Ich kolor był czerwony. Za to niektóre pary składały się z baniek o mniejszych rozmiarach, o błękitnym odcieniu i widocznych sła-biej, jakby stanowiły tło dla tamtych. Zapewne miały to być cząsteczki tlenu. Mimo niewie-lkiego zagęszczenia cząstki zderzały się co pewien czas ze sobą, odbijały i zmieniały tory.

Na ten pokazany mi obraz nałożyłem inny, wywołany z własnej wyobraźni: rosnącą jak na przyspieszonym filmie łodygę pszenicy. Zdumiewająco już wyrobiłem sobie umiejętność budowania w myśli wyrazistych obrazów. Żdźbło wypuściło kłos, nabrzmiało ziarnami jak grochy i ciężko obwisło ku ziemi.

Skłoniłem unoszące się w tle — co prawda przedstawione w innej skali — cząsteczki azotu, by zbliżały się do powierzchni rośliny i przenikały do jej wnętrza. Uznałem, że w ten sposób moja idea została dostatecznie jasno wyrażona. Na koniec ukazałem raz jeszcze donicę, kartkę przypiętą do niej i jedno z zakopanych ziaren.

Zdjąłem kask i postanowiłem czekać cierpliwie na wynik. Obaw żadnych nie miałem, gdyż nawet zupełnie błędne zrozumienie moich poleceń nie powinno przynieść żadnej szkody. Zmiany ograniczały się do jednej rośliny, co najwyżej do ziaren wysianych w jednej donicy.

Teraz pochłonęła mnie dzika zwierzyna. To lekkie wykroczenie przeciw zasadom, jakie sobie ustaliłem, ale trudno. Rzecz może bez szerszego znaczenia i w tym samym czasie mógł-bym zapewne zdziałać coś bardziej pożytecznego, może ocalić niejednego człowieka. Ale i tu chodziło o doraźny i pospieszny ratunek.

Przez półotwarte drzwi mego pokoju słyszałem odgłosy dziennika telewizyjnego docho-dzące z pokoju Huberta. W pewnej chwili rozległ się głośny krzyk Zośki, który poderwał i mnie, i Elę. Ona z kuchni, ja od siebie, wpadliśmy do przedpokoju, omal się nie zderzając. Myślałem, że stało się coś strasznego. Przemknęło mi przez głowę, że może Zośka próbowała poprawić migający obraz telewizora uszkodzonym pokrętle i prąd ją złapał...

Nic takiego się nie stało. Siedziała obok Huberta, który kiwał głową pobłaźliwie, pod-czas kiedy ona, wcisnąwszy się w fotel, zasłoniła kurczowo twarz dłońmi i tylko jej okrągłe oczy było widać.

— Wąż! — jęknęła na widok Eli. — On wziął do ręki węza...

Mniejsza o dalszą rozmowę. Słuchałem słów spikera:

Tysiące zwierząt skazanych na zagładę w podnoszących się wodach sztucznego zbiornika hydroelektrowni na rzece Bayano w Panamie. Odcięte od stałego lądu, na wyspach lub drzewach, utopiają się lub zginą z głodu...

Tylko przez kilkanaście sekund trwał na ekranie obraz łodzi wydłubanej w pniu, suną-cej pod gałęziami dżungli. Dwaj ludzie w sombrerach i kilka drewnianych klatek. W jednej z nich wąż, w drugiej zwierzątko podobne do kota, lecz o wydłużonym pyszczku

wsuniętym między pręty trzciny.

Potem już była mowa o sytuacji politycznej w Erefenie. Wróciłem do siebie zastanawiając się, czy rzeczywiście skazane są na zagładę. Przecież jeszcze byłem ja! I moje stare marzenie o podróży w tropiki. Nie zwlekałem długo.

Po raz drugi zdarzyło mi się przy tej okazji zarwać ponad pół nocy. Ale takie już są wymagania akcji ratunkowych. Już wypróbowanym sposobem — po wstępnym obejrzeniu mapy i zlokalizowaniu dżungli Darien z rzeką Bayano, tuż przy granicy Panamy z Kolumbią — spowodowałem pojawienie się, daleko przede mną, tego kraju. Pogoda była bezchmurna, wybrzeża Morza Karaibskiego świeciły nieomal bielą, tak jasne były piaski muszlowe na plażach ciągnących się krętymi wstążkami. Morze Szmaragdowe, świetliste, widziałem w nim jakby zatopione w kryształach podwodne płycizny, ławice i bariery rafowe, okolone atramentową głębią. Za obwódką plaży ciągnęła się już dżungla nasycona zielenią, zwałniona na wzgórzach, niby zakrzepła farba ubita trzepaczką na pianę. Wiły się w niej rzeki o kolorze piwa, pełzające w kanionach pomiędzy drzewami.

Łatwo odnalazłem właściwe miejsce — lustro wody, jezioro rozciągnięte jak rzeka, rozszerzające się od miejsca gdzie była zapora. Zobaczyłem ją: drobny, jasny przecinek z betonu, gdy obraz się zbliżył. Upewniony, że jestem tam gdzie należało, od razu zwróciłem się ku drugiemu krańcowi jeziora. Mniej więcej po pięćdziesięciu kilometrach, jak oceniałem na oko, sztuczny zalew wsiąkał już pomiędzy drzewa. Kraj był tam płaski i jezioro rozlało się niezmiernie, podzielone na gęstą sieć kanałów, zatok, rozlewisk. Zawisłem kilkaset metrów nad drzewami i widziałem w prześwitach pod nimi wodę. Ale w wielu miejscach, w zagłębieniach terenu, sięgała ona aż do koron, a nawet zatapiała drzewa. Nie miałem pojęcia, od jak dawna trwało spiętrzanie ani kiedy nakrecono reportaż filmowy. Byłem jednak pewny, że moja pomoc się przyda tam, gdzie woda dopiero sięgała mackami w głąb lasu.

Ujrzałem wysepkę, wydłużoną podobnie do pokładu sporego statku i najwyraźniej dopiero co odciętą od lądu położonego za niezbyt szeroką cieśniną. Zalew powstał świeżo, dopiero się tu tworzył, gdyż widziałem próg wodny, niewysoki wodospad, którym mętna ciecz przelewała się przez coś w rodzaju przełączki między

dwoma pagórkami.

Zniżyłem się pod drzewa. Woda była brudna, spieniona, usłyszałem jej bulgot i jakiś daleki szum strumieni napełniających kotlinę. Pływały po niej liście, kwiaty, pokruszona kora, patyki, kępy mchu i rośliny podobne nieco do ananasów, tyle że bez owoców. Wiele ich dojrzałem rosnących na gałęziach drzew.

Przesuwałem się pod koronami olbrzymów leśnych obwieszonych pnączami. Niektóre kopuły całe były w kwiatkach. Pierwsze zwierzęta, jakie mi się ukazały, były to owady, motyle i ćmy, mimo dnia szukające nowych kryjówek. Przelatywały też ptaki, ale wyraźnie spłoszone. Nawet żyjące wysoko w koronach nie mogły być obojętne na to, co działo się w podszyciu lasu. Cała dżungla musiała być pełna sygnałów alarmu, nadawanych i rozumianych przez wszystkie zwierzęta. Drobnie ptaszki, podobne do mysikrólików, zapewne żyjące właśnie w podszyciu, trzepotały nad wodą, śmigały tuż nad nią, jakby usiłując przeniknąć do znanych im zakątków.

Wydłużona wyspa, jak się przekonałem, nie miała przetrwać długo. Pozostał pas ziemi szerokości kilku metrów. Dookoła drzewa stały już w wodzie. Oglądałem szare pnie okryte jakby skórą słoniową i ich potężne korzenie przyporowe, trójkąty wysokości kilku metrów, jak stateczniki rakiety wycięte z grubej blachy i podpierające kolumnę dokoła.

Usiłowałem dojrzeć jakieś czworonogi, ale w pierwszej chwili wydało się to niemożliwe w gęstwinie. Z konarów opuszczały się proste juk druty korzonki, tworząc całe zasłony i sięgając ziemi. A po tych naturalnych sznurach pięły się bluszcze, pnącza i powoje. W jednym miejscu, gdzie taka kotara zanurzona już była w brunatnej cieczy, ujrzałem całą kolonię tonących owadów. Nieco podobne do mrówek, właśnie się wyroiły, wiele z nich miało skrzydła. Wciąż nowe wypływały z zatopionego gniazda i bezradnie próbowały uruchomić zlepione skrzydełka. W tej chwili trzasnęła gałąź i tuż przed moim nosem, w rojowisko owadów, chlupnęło spore zwierzę.

Zakryła je woda, wyłonił się kłęb mokrego futra i pysk podobny do małpiego. Patrzyłem spokojnie, sądząc, że to istotnie małpa, która bez trudu powinna sama wydostać się z toni, zwłaszcza że nurzały się w niej liczne korzenie i liany. Zwierzę szamotało się przez chwilę, a jego ruchy wydały mi się jak na małpie nieco zbyt powolne i nieskuteczne. W płytkiej wodzie wystarczyło stanąć na tylnych



odnóżach, aby móc swobodnie oddychać. Tymczasem topielec przewracał się, mełł wodę łapami tak nieporadnie, że wydało mi się, iż jest chory.

Na koniec zdołał zaczepić się o gałąź. Kiedy zobaczyłem, że trzyma podporę nie palcami, lecz trzema potężnymi, hakowatymi pazurami, zrozumiałem, że to nie małpa. Leniwiec! Zwierzę było odwrócone grzbietem ku dołowi, a między jego przednimi łapami ujrzałem mały, zmoczony pyszczek i oczy jak paciorki, mrugające rozpaczliwie. Młode trzymało się kurczowo sierści matki.

Odruchowo, zapominając, gdzie naprawdę się znajduję, wysunąłem rękę, aby podstawić ją pod grzbiet leniwca i unieść go ku górze. Spodziewałem się uczucia chłodu na zanurzonej dłoni, ale zamiast tego poczułem, że więźnie ona w pościeli. Leżałem przecież na tapczanie, w kasku opartym na poduszce. Zanim zdołałem uświadomić sobie nieporozumienie, oczy pokazały mi, że jednak mój zamiar został wypełniony. Jakaś siła dźwignęła leniwca z wody, jakbym ja to zrobił. Długie włosy ociekały strumieniami, łapy były skierowane ku górze. Niewiele się zastanawiając, przedłużyłem ten ruch wzwyż, ku koronie drzewa, i tam zostawiłem zwierzę, gdy tylko zahaczyło pazurami o konar dostatecznie gruby.

Zwróciłem się ku wysepce, przecież gąszcz nie był dla mnie przeszkodą. Z łatwością przenikałem przez liściaste zasłony. Zaraz też natknąłem się na dalszych więźniów tego skrawka ziemi. Na wąskim cypelku, pod mrocznym sklepieniem, stała para zwierząt nie mających głów, jak mi się to w pierwszej chwili wydało, ale dwa ogony. Jeden gruby, mięsisty i prawie bezwłosy, zaś z przeciwnej strony ciała drugi dwumetrowy, złożony z gęstych włosów, podobny do chorągwi z włosia, niezwykle obfity. Brunatne, niemal czarne grzywy zwieszały się z grzbietów. Głównie nie było! Raz jeszcze wróciłem spojrzeniem na drugi koniec tułowia i tam odkryłem oczy. Patrzałem więc na wydłużone ryje mrówkojadów!

Z małych otworków gębowych wysuwały się cienkie języki, kapiała z nich ślina. Zwierzęta ciężko dyszały i pojękiwały. Nie rozumiałem, dlaczego nie położą się, jeśli są zmęczone, lub nie ochłodzą wodą, zamiast tkwić ramię przy ramieniu, przestępując potężnymi łapami. Wkrótce to pojąłem. Pojękiwania i parskania przybrały na sile, a oba mrówkojady przysiadły na zadach, unosząc przed siebie łapy zaopatrzone w hakowate pazury, jakby szykując się

do obrony.

Spojrzałem tam gdzie one i zdrewniałem. Byłem bezpieczny, a przecież zrobiło to na mnie wrażenie. Trzy kroki przed sobą miałem łeb jaguara. Wysunął się z krzaków i zatrzymał z głową spuszczoną poniżej linii barków. Patrzył chwilę na mrówkojady, jakby niewidzącym wzrokiem, po czym ciężko zawrócił, ukazując mi bok pokryty pomarańczowym futrem usianym czarnymi pierścieniami i bezszelestnie ruszył z powrotem, dobrze już wydeptanym szlakiem. Zapewne wędrował nim podobnie do zwierząt uwięzionych w klatkach. Prowadziłem go wzrokiem, gdy lekko, jakby nic nie ważył, uniósł się przeskakując leżące w poprzek drzewo, po czym wkroczył na pień wznoszący się skosem i bez najmniejszego wahania szedł po nim do góry, choć jego szerokie łapy zaledwie znajdowały oparcie. Kora była już dobrze zdarta pazurami, stąd poznałem, że kot wielokrotnie przebył tę trasę. Doszedł do miejsca, ze trzy metry nad ziemią, gdzie pochylony pień opierał się o konar innego drzewa. Tam chciał zeskoczyć, złożył razem cztery łapy i obniżył barki, po czym zmienił zamiar. Cofnął się nieco i zadarłszy pysk w górę patrzył na wierzchołek. Zatrzęsły się tam gałęzie, posypały się liście i kępki porostów.

Razem z nim patrzałem na stado kilkunastu pajaków-olbrzymów. Poznałem małe czepiaki. Niezwykle długie kończyny i chwytne ogony, wszystko smolście czarne, małe okrągłe głowy. Łaziły po wiszących pomostach lian wszystkimi naraz kończynami, właśnie jak pajaki. Nie zwracały uwagi na jaguara, zapewne przywykły już do jego obecności, zresztą mogły się z łatwością schronić na cienkich gałęziach niedostępnych dla niego.

Uświadomiłem sobie, jak wspaniałym narzędziem pracy dla przyrodnika byłby mój kask. Mógłby obserwować zwierzęta i opisywać ich zachowanie w naprawdę niezakłóconych, naturalnych warunkach. Dotychczas nieliczne tylko gatunki były tak podglądane przez człowieka, a już to samo całkowicie zmieniło nasze wyobrażenia o sposobie życia „dzikich” zwierząt. Jak fantastycznych mógłbym dostarczyć opisów!

Jaguar skoczył na ziemię i po kilkunastu krokach dotarł do przeciwnego krańca wysepki. Woda dość szybko przybierała, niosła sznury baniek. Kot zatrzymał się nad nią, węszył z opuszczoną głową, patrzył, jak podmywa liście leżące na ziemi — poruszały się jak żywe.

Wysunął łapę, jakby zamierzając stąpić do jeziora, cofnął się, ale trzymał zwieszoną, jeszcze niezdecydowany.

W tej chwili ogarnęła mnie chęć zrobienia kawału, pewnie niezbyt śmiesznego, ale mnie to rozbawiło.

Może dlatego, że poczułem się zupełnie bezkarny wobec tej obleczonej w jedwabiste futro bryły ścięgien i mięśni ze stali, zdolnej w innych okolicznościach zrobić sobie ze mnie obiad. Krótko mówiąc, postanowiłem popchnąć wahającego się zwierza z tyłu, tak żeby wpadł do wody. Wiedziałem, że jaguary doskonale pływają, a i ten pewnie prędzej czy później zdecydowałby się na to. Do suchego lądu nie było dalej niż dwieście, trzysta metrów, z łatwością mógł tam dopłynąć.

Byłem już gotów do wydania kaskowi polecenia, wybierając tylko najwłaściwszy kierunek i jakby czając się za kotem, kiedy stało się coś bardzo dziwnego. Jaguar z głuchym warknięciem, jak smagnięty biczem, obrócił się w miejscu, ze sztywnym ogonem, uszami przylegającymi do czaszki i podkurczonymi wargami. Znieruchomiał w przysiadzie na tylnych łapach, szykując się do skoku.

Gwałtowność tego ruchu tak mnie przestraszyła, że mimo woli sam rzuciłem się wstecz, na poduszce. Zresztą w wyniku tego oddalił się ode mnie jaguar i jego szeregi lśniących zębów gotowych do zadania ciosu... Nie piszę nawet „obraz jaguara”, bo ta stereowizja stwarzana przez kask nie różni się w moim odczuciu absolutnie niczym od normalnie i bezpośrednio odbieranych wrażeń wzrokowych.

Tkwiliśmy teraz naprzeciwko siebie, oddaleni o kilka metrów. Drapieżnik uspokoił się i nie widząc nikogo, przestał szczyrzyć zęby. Podniosły się uszy i zelżało napięcie mięśni, tylko koniec ogona wykonywał drgające ruchy. Nasłuchiwałem i rozejrzałem się w koło — w najbliższej okolicy nie było absolutnie żadnego stworzenia, które mogłoby spowodować taką reakcję jaguara. Z wyjątkiem mnie samego! Ta myśl wydała mi się fantastyczna w pierwszej chwili — mógłby wyczuć moją obecność za sobą? Przecież mnie tam nie było... Zastanawiałem się, czy rzeczywiście. Przecież patrzyłem na niego z określonej strony, a czym jest patrzenie? Odbieram wiązki promieni świetlnych wysyłanych przez oglądany obiekt czy odbitych od niego.

Ale tutaj nie ja je odbierałem, do mnie docierały po bardzo długiej drodze. W takim razie c o zastępowało tam moją obecność, jaka istota czy urządzenie znalazło się metr za jaguarem, aby mi go pokazać z tej strony? Istotę wykluczyłem od razu. Mógł być robot, jakieś unoszące się w powietrzu elektroniczne oko, wędrujące wszędzie tam gdzie tego zażądałem. Rzecz jasna, nigdy nie mogłem go zobaczyć, skoro to właśnie ono odbierało obrazy.

Co prawda teraz, gdy to piszę, nasuwa mi się pomysł: mógłbym wymyślić taką sytuację, w której owo oko, jeśli rzeczywiście chodzi tu o urządzenie podobnego rodzaju, musiałyby rzucać cień na piasek albo ścianę. Wtedy bym je dostrzegł. A może by się udało ustawić je przed lustrem?... To czysto teoretyczne rozważania. Będąc jeszcze tam, w dżungli, wykluczyłem hipotezę „oka”. Widzenie tak doskonałe, tak elastyczne i dowolnie przesuwane, musiało być innej natury. Pewnie jest projekcją jakiegoś pola, takiego jak na przykład grawitacyjne, może nam nie znanego, jakichś fal przenikających wszystko lepiej niż radiowe. W każdym razie „coś” jednak chyba musiało docierać do oglądanych obiektów, przenikać je i od nich się odbijać, jeśli miało je odwzorować. Musiała też być przekazywana energia pozwalająca doko-nać materialnego i sprawdzalnego działania — jak choćby popchnięcie jaguara. Czy więc nie można przypuścić, że to zwierzę o wyczulonych zmysłach, znacznie bardziej wrażliwe niż człowiek na wszelkie sygnały, poczuło jakąś obecność za sobą? Zmianę? Może temperatury? W chwili gdy się „czaiłem”, by wykonać pchnięcie, mogła się tam już gromadzić energia, podnosząc ciepłość powietrza, a to byłoby odczute przez kota jako nagłe zbliżenie się innego zwierzęcia. Tak czy inaczej, musiało to stanowić dla mnie przestrożę, że te moje działania nie są tak niezauważalne, jak mi się zdawało, i kiedyś mogłyby wywołać poważne kłopoty, gdy-bym zapomniał o tym.

Jaguar ruszył znowu swą ścieżką ku dwóm mrówkojadom, a ja odkryłem jeszcze jedno zwierzątko siedzące na wysuniętym daleko nad wodę konarze i tęsknie patrzące na niedostępne wzgórze, okryte ścianą kipiącego lasu. Wielkości kota, miało miękkie, gęste futerko, żółta-we z ciemnymi prążkami, chwytny ogon, którym trzymało się wyższej gałęzi, krótki pysk, duże brązowe oczy. Znalazłem później jego nazwę u Brehma: wikławiec, należący do rodziny szopów, łatwo się oswaja, a przez miejscowych zwany jest kinkayu. Wysoko nad

nim, na czubkach drzew, hałasowały czepiaki. Na ich przedziwne, pajęczne ruchy, mógłbym patrzeć godzinami. Trzeba się było jednak zabierać do dzieła.

Spośród możliwych sposobów ratunku natychmiast odrzuciłem przenoszenie zwierząt. Ogromna strata czasu, konieczność wyszukiwania ich w zaroślach, a przecież takich jak ta wysepek widziałem wiele dokoła. Nie było też nadziei, żebym tym sposobem uratował wszy-stkie zwierzęta, wiele z nich kryło się w dziuplach, pod korą, w gniazdach, w norach jeszcze nie zalanych. I musiały ich być niezliczone ilości, tych jaszczurek, żab, nie mówiąc o owa-dach. Jediną metodą było stworzenie pomostu, po którym same by się wydostały z pułapek.

Woda żółta, zmacona, z wolna podnosiła się w górę, obejmowała gałęzie, pokryte kożu-chami piany, liści i kwiatów. Sprawić, żeby to powierzchnia zmieniła się w błonę zdolną unieść zwierzęta? Musiałaby być sztywna, bo inaczej żadne nie chciałoby na nią wstąpić. Ale to równałoby się... wybetonowaniu całego lasu. Mogłoby zniszczyć zanurzone korzeniami drzewa i na pewno wszystko, co żyje spod spodem — ryby, żółwie, kajmany. Zamrozić? Tafla lodu byłaby czymś zupełnie naturalnym. Ale przecież nie tutaj. Trzeba by ją utrzymy-wać przez wiele dni, zanim wszelkie stworzenia, gnane głodem, zdecydowałyby się wejść na nią po przewycięzeniu niechęci do zimna. Wywołane w ten sposób ochłodzenie powietrza mogłoby oznaczać dla niezliczonych zwierząt katastrofę nie mniejszą niż sama powódź. A przy tym, nie ulegało wątpliwości, spostrzegliby to ludzie, bo obszar zalewu na pewno był pod kontrolą, choćby z helikopterów, a wtedy musieliby się domyślić interwencji jakichś istot inteligentniejszych, chociaż niekoniecznie mądrych.

Wpadłem na inny pomysł. Najdoskonalszym pomostem dla celów ratunkowych wydały mi się pływające drzewa. Zatopiony las i tak został skazany na zagładę. Pod wodą drzewa nie mogą się rozwijać. Zniszczenie nie byłoby więc większe, gdybym tkwiące jeszcze na dnie zbiornika mahonie, balsy, figowce i drzewa gumowe wyrwał z korzeniami, każąc im wypły-nać. Nie wahałem się. Wyobraziłem to sobie: gruby pień wynurzający się z topieli, konary ociekające wodą — i obraz przekazałem kaskowi. Tym razem nie czekałem zbyt długo.

Jeziro zabalgotało. Najpierw ukazały się gejzery baniek i para — nie wiedziałem zre-sztą dlaczego — a po chwili jęły wynurzać się

gałęzie. Całe korony, jeszcze żywo zielone, a spod nich pnie obwieszane mchami, oplecione sznurami powojów i lian. Obracały się, kotło-wały. Woda spływała z nich kaskadami. Jedne wypychały drugie, wstrząsały się, uderzane od dołu, chrzęściły i trzaskały łamanymi gałęziami, podnosiły falę, aż znieruchomiały.

Kazałem temu obrazowi oddalić się, spojrzałem na zalew z góry i kazałem dżungli wy-nurzać się na całym obszarze. Ta fala i wrzenie szły dokoła wysepek, przylądków, rozpełzały się szerokim frontem w rozległych zatokach. Wszędzie tam, gdzie drzewa rosły pod wodą, wypływały uwolniony korzenie.

Niebawem na miejscu zalewowego jeziora widziało się znowu jednolitą dżunglę. Liście przesłoniły wodę. Powróciłem spojrzeniem pod ten zielony i mokry materac. Krople sypały się dokoła. Grube kłody pozostały w zanurzeniu, ale wypchnięte przez nie konary i oplatające je sieci lian tworzyły nad wodą kilkumetrową warstwę. Po takim naturalnym pomoście wszy-stkie zwierzęta mogły bez trudu przedostać się na stały ląd. Mogły i żyć tutaj tak długo, póki drzewa nie zbutwieją.

Chciałem poznać sposób, w jaki się wynurzyły. Stwierdziłem, że las został jakby od-cięty od podłoża, po czym wypłynął dzięki naturalnej wyporności drzewa. Oglądałem korze-nie i dolne części pni. Drewno zostało w nich rozczepione na tysięczne drzazgi, jakby rozsa-dzone pod wpływem wewnętrznego ciśnienia. Zawarty w tkankach płyn i gazy rozszerzyły się gwałtownie, być może ogrzane, jak mogłem wnioskować z zaobserwowanej pary, i zniszczy-ły strukturę włókien.

No cóż, rzecz niełatwa do zrozumienia dla kogoś nie wtajemniczonego. Sądziłem jednak, że pracownicy leśni i badacze, którzy na pewno zechcą sprawdzić, co się stało, łatwiej przyjmą za naturalne takie zjawisko niż na przykład ową taflę lodową.

Dziś rano przeżyłem bardzo trudną godzinę. Czasem mi się zdarza, że po przebudzeniu, nim oprzytomnieję zupełnie, jakaś myśl zniekształcona tłucze się po nie obudzonej głowie i mija dłuższa chwila, zanim ją opanuję, a wywołane przez nią niepokoje sprowadzę do właści-wych wymiarów.

Tym razem urosło we mnie podejrzenie, które ktoś wysuwał w związku z Trójkątem Bermudów, że bez wiedzy łudzi ktoś obcy

gospodaruje na Ziemi. Teraz to wróciło i poczułem chłód w sercu. Czy przypadkiem nie ja sam byłem narzędziem dla jakichś obcych istot, poma-gając opanować im Ziemię?

Musiałem wstać, umyć się i iść do szkoły. Musiałem też rozważyć ten problem. Robi-łem więc jedno i drugie równocześnie, z wiadomymi skutkami. Zbyt długo siedziałem w łazience, aż to rozzłościło Huberta czekającego swej kolei. A co najgorsze, kluczyk od szafki upuściłem do umywalki i utonął w syfonie. Ela nie mogła się przez to dostać do swoich słoików z kremami, a o wołaniu hydraulika teraz, rano, nie było nawet mowy. Czym prędzej wypadłem więc z domu, by zejść wszystkim z oczu.

Wlokłem się piechotą, rozważając. Przy różnorodności form życia możliwej w kosmo-sie łatwo wyobrazić sobie, że przybierają też one różne formy działania. Być może, opanowa-nie nowego środowiska do życia, naszej Ziemi, którą mogła upatrzeć sobie jakaś pozaziemska rasa, nie jest dla niej łatwe, mimo olbrzymiej technicznej przewagi. Może wcale nie chcą usu-nać zwierząt ani ludzi, lecz tylko przebudować nasze środowisko tak, aby im w pełni odpo-wiadało? Nie można wykluczyć, że w tym celu zechcieli się posłużyć jakimś Ziemianinem. A teraz ja sam, przekonany, że wyświadczam dobrodziejstwo ludzkości, oddaję się w cudze ręce, bezwiednie zdradzając nasz świat...

Trudno mi było w to uwierzyć, ale musiałem to brać pod uwagę. Jeśli — powiedziałem sobie — tak jest w istocie, a ja odrzucę współpracę w ogóle, oni nawiążą ją z kimś innym, kto może będzie posłuszniejszy, w kim nie zbudzą się takie wątpliwości, po czym bezkrytycznie wykona ich dzieło. Tak, stanowczo należało zatrzymać kask dla siebie. Dopóki go miałem, mogłem jako tako kontrolować bieg wydarzeń. A przy tym, póki tylko się da, należało wykorzystywać go w naszym interesie. Ale nie podejmować działań, w których krył się choćby cień zagrożenia.

Zanotowałem to, lecz zdaję sobie sprawę, że nie ma mowy o żadnej kontroli ani przewi-dywaniu na dłuższą metę całego łańcucha skutków. Nie tylko ja, ale nikt tego nie potrafi. Więc w ogóle nie działać? To musiałem odrzucić. Z tych rozmyślań zrodziło się postanowie-nie. Aby zmniejszyć błędy, nie mogłem polegać na sobie. Decyzje powinny wychodzić od umysłów najbardziej do tego powołanych. Otwarcie nie mogłem ich się radzić. Z ilu wybitny-mi

uczonymi mógłbym sam porozmawiać? Raz się to udało w przypadku asymilacji azotu. Zostawały publikacje uczonych. Czytać! Mniej należało tkwić w kasku, a więcej nad książka-mi.

Nie zapowiadały się łatwo moje najbliższe lata. Niby chciałem pozostać zwyczajnym człowiekiem, ale przecież musiałem być bardziej wykształconym i może więcej myślącym niż wszyscy dokoła. A na pewno więcej pracującym. Musiałem przecież jeszcze śledzić z najwyższą uwagą skutki moich interwencji już dokonanych i naprawić błędy, nim przyniosą szkody.

Wpadłem na pewien pomysł. Notuję go tutaj, by nie zapomnieć, choć do jego wykonania jeszcze bardzo daleko. Nie będzie łatwy do opracowania. Jedno pewne, Hubert miał rację, że wynalazki rozwiązują tylko część problemów. Najważniejsze zależy od zachowania się ludzi. O ile łatwiej byłoby cokolwiek przeprowadzić, gdyby wszyscy lepiej rozumieli i innych, i siebie! A wcale nie wygląda to różowo. Ot tak, dla przykładu, bardzo prostego: choćby lokatorzy naszego bloku. Większość ma zbyt niską inteligencję, aby samych siebie nakłonić do cichego zamykania drzwi od windy i nieszarpania nerwów pozostałym. Mimo że sami cierpią z tego powodu. Jeszcze gorzej jest ze zrozumieniem spraw bardziej skomplikowanych. Ale może by coś pomogło, gdyby nas uczono zastanawiać się nad własnym postępowaniem?

Krótko mówiąc, aby to ułatwić, postanowiłem w jakiejś wolnej chwili zbudować za pośrednictwem kasku pomoc naukową. Byłby to rodzaj komputera, model, rzecz jasna, niezwykle uproszczony, ustroju psychofizycznego człowieka. Uczeń chciałby zbadać i zrozumieć swoje zachowanie, powiedzmy, w sytuacji, którą sam przeżyłem. Był to spór z Korneckim o miejsce w szkolnej reprezentacji na mecz lekkoatletyczny z III Liceum. Obaj mieliśmy jednokowe wyniki w biegu na sto metrów. To on, to ja nieznacznie zwyciężałem i profesor wychowania fizycznego pozostawił do rozstrzygnięcia między nami, który wystąpi na zawodach. Kłótnia trwała długo, aż zmuszono nas do losowania. Wypadło na jego korzyść. To może dzięki tej porażce byłem skłonny zastanowić się nad sobą? Nadmiar powodzenia chyba temu nie sprzyja. Lecz nie o to chodzi w tej chwili.

Dlaczego tak się upierałem wiedząc, że Kornecki jest równie jak ja dobry w biegu? Co zależało od mojego udziału w zawodach?



Gdybym miał ten specjalny komputer, o wiele prędzej bym się tego dowiedział. Naciskam odpowiednie guziki i wprowadzam dane określające mój charakter: leniwy lub pracowity, wytrwały lub łatwo zniechęcający się, łagodny czy porywczy, ambitny czy obojętny na opinie innych. Zarazem muszę ocenić, w jakim nasileniu dana cecha u mnie występuje, powiedzmy — w skali punktowej od jednego do dziesięciu.

Z kolei stawiam maszynie zadanie — przycisk: „spór o pierwszeństwo”. Teraz inicjatywę przejmuje komputer. Zapalając napisy, zadaje mi serię pytań, a w końcu przedstawia do wyboru kilka odpowiedzi. Na przykład taką: „upierasz się, bo dobrowolne ustąpienie w sporze uważasz za przyznanie swojej niższej wartości; obawiasz się, że społeczność szkolna znacznie cię niżej cenić”.

Uznając tę przyczynę za prawdziwą, naciskam guzik: „tak”, a wtedy pada kolejne pytanie: „czy twoja pozycja wśród otoczenia zależy tylko od wygrania sporu?” Odpowiadam: „nie” i teraz wreszcie zaczynam pojmować, że liczy się też wiele innych rzeczy, a między nimi takie, w których jestem lepszy od Korneckiego. A komputer przedstawia swoją ostateczną ocenę: „właśnie zajadłością sporu w tej niezbyt ważnej sprawie pokazałeś otoczeniu swą niezdolność do obiektywnego myślenia; w odczuciu środowiska spadła ocena twojej inteligencji. W sumie, upierając się straciłeś to, co chciałeś zyskać”.

No cóż, myślę, że po takim seansie z komputerem człowiek choć przez kilka godzin trochę krytycznie i patrzyłby na siebie i może łagodniej na postępowanie innych.

## 5.

Znów kilka dni upłynęło. Naprawdę, tak trudno jest siadać do pisania, kiedy ten sam czas można by przeznaczyć na działanie, a choćby tylko i zwiedzanie świata. Zresztą nic nie zwiedziłem, choć nie mogę powiedzieć, że nie nauczyłem się wiele nowego. W tych dniach po raz pierwszy odważyłem się wejść między ludzi i zmienić tok wydarzenia wbrew zamierzeniom. Nie ma chwili na świecie, by nie rozlegał się gdzieś huk wystrzałów. W tej sprawie nie ma żadnych

wahań i jestem pewien swojej słuszności. Zabijanie przeciwników jest najgorszą drogą rozwiązywania problemów. Przy tym nie zostają one wcale rozwiązane, lecz co najwyżej stłumione, zduszone, odsunięte na potem. A co najważniejsze, stwarza nowe problemy, większe od tego, który przy pomocy siły miał być niby rozwiązany.

Zanim opowiem, jak uratowałem życie pięćdziesięciu trzem pasażerom, ośmiu członkom załogi oraz porywaczom amerykańskiego Boeinga 727, kilka słów o tym, co mnie skłoniło do użycia kasku w tej sprawie.

Od pewnego czasu chodziła mi po głowie myśl o położeniu kresu działaniom wojennym i groźnym nieporozumieniom na świecie. Pozornie tak łatwo mogłem tego dokonać! Chciałem zacząć od załagodzenia konfliktów w Afryce, więc pełen zapału rzuciłem się do czytania artykułów na ten temat. Bardzo szybko mój zapal ostygł. Co za dżungla problemów! Pojąłem, na co chcę się porwać... Ruchy wolnościowe, zakusy neokolonialne, uczucia narodowe, waśnie plemienne, nienawiści rasowe, kapitalistyczne wpływy, dyktatorskie zapędy, różnice klasowe, pragnienia ludu, nowobogackie marzenia... Niby jak miałem rozplątać taki węzeł i co gorsza odgadnąć, kto czym się kieruje? Zwłaszcza że znałem to tylko z relacji dziennikarzy, którzy przecież nie byli ani nieomylni, ani w pełni poinformowani, za to często stronniczy. Dawniej mi się zdawało, że wszystko jest tam czarno na białym, a tymczasem... Czyją mam wziąć stronę wtedy, gdy trzy czarne organizacje walczą nie tylko o wolność z białymi, ale i pomiędzy sobą o władzę?

Pojąłem, że znalezienie rozwiązań, które najlepiej by służyły żyjącym tam ludziom, przerasta moje możliwości. W dodatku niezmiernie trudny byłby wybór środków działania. Gdybym użył pierwszego pomysłu, jaki mi się nasunął, to znaczy zamienił karabiny, czołgi i armaty w stosy zardzewiałego złomu, rozbijając jedną albo dwie strony, doprowadziłbym tylko do tego, że poszłyby w ruch pięści, noże, kije i oszczepy. Skończyłoby się wymordowaniem mniej licznych przez liczniejszych. Czarnych, gnębionych od pokoleń, nic by wtedy nie powstrzymało. A w waśniach plemiennych — czy nie wiedziałem, czym jest chłopska zawziętość, choćby u nas w kraju, w sporach o byle miedzę?

Albo jak miałbym przekonać białych w tych krajach, gdzie są jeszcze u władzy, że ją muszą oddać czarnej większości? Mógłbym na

przykład sprawić, by ze sztabów zaczęły znikać najtajniejsze mapy i plany operacyjne, schematy łączności i zaopatrzenia armii. By z tajnych kartotek policji ulatniały się akta, spisy nazwisk, adresy i fotografie działaczy wolno-ściowych. Z kancelarii państwowych protokoły najtajniejszych obrad, dokumenty, umowy. Bez tych ton papieru — jak twierdzi Hubert — niepodobna sprawować dzisiaj władzy. Może i tak. Lecz niestety — musiałem sobie powiedzieć — ludziom nie sprawia żadnego kłopotu cofanie się do czasów, gdy władzę sprawowało się pałką. I tak kółko się zamyka. To nie jest droga do uspokojenia świata.

Uznałem na koniec, że wszystko, co mogę uczynić w tej chwili, to przeszkodzić rozlewowi krwi bezpośrednio na polu bitwy, powstrzymując wrogie strony czy uniemożliwiając im walkę. Mógłbym wywoływać burzę, sprowadzać wylew rzeki albo pożar stepu. Tak się jednak złożyło, że zacząłem wcale nie od Afryki.

Przeczytałem w „Życiu Warszawy” doniesienie o porwaniu samolotu. Notatka mówiła tylko tyle: „W dniu wczorajszym Boeing 727, kursujący na linii Nowy Jork — Chicago, został porwany przez członków jednej z palestyńskich organizacji wyzwoleniczych. Powietrzni piraci domagali się, by prasa amerykańska opublikowała tekst mówiący o prawie narodu palestyńskiego do własnej ojczyzny. Żądali też, by rozrzucono z powietrza ulotki o podobnej treści nad Londynem i Paryżem. Boeing 727, samolot linii średniodystansowych, nie mógł w zasadzie przelecieć Atlantyku. Goniącej resztkami paliwa maszynie zezwolono na lądowanie w Roissy we Francji. Na polecenie ministra spraw wewnętrznych, bez uprzedzenia pilota, wyłożono na pasie lotniska taśmy z kolcami, które przebiły opony samolotu, uniemożliwiając mu wystartowanie. Naraziło to na poważne niebezpieczeństwo życie pasażerów. W szalonym locie przez Atlantyk towarzyszył uprowadzonemu Boeningowi drugi samolot, 707, z którego zrzucono ulotki. Od kilku godzin trwają pertraktacje. Porywacze nie wypuścili nikogo z samolotu, grożąc wysadzeniem go w powietrze, o ile żądania nie zostaną spełnione”.

Wymieniłem na ten temat kilka uwag z Ela, sprzątając po obiedzie.

— Straszne — powiedziała. — Ci ludzie na pewno nie mają racji grożąc zabiciem nie-winnych pasażerów, ale z drugiej strony, wyrzuceni z ojczyzny, są doprowadzeni do rozpa-czy. Chcą więc

wstrząsnąć światem, wymóc załatwienie ich sprawy...

Wieczorem o godzinie 20.00 w wiadomościach radiowych usłyszałem, że na lotnisku Roissy pertraktacje z porywaczami nie posunęły się naprzód. Wtedy doznałem olśnienia. Ja je mogłem zakończyć w jednej chwili!

Dopiero około 22.00 zdołałem zamknąć się w pokoju. Jak zwykle miejsce zlokalizowałem w atlasie. Zastosowałem też coś nowego, magnetofon. Postanowiłem dokumentować na gorąco swoje sesje kaskowe, bo — jak się zorientowałem — z pamięci trudno mi potem od-tworzyć rozmaite szczegóły. Zamierzałem nagrać wszystko, co usłyszę. I w tym celu wetknąć mikrofon do kasku, obok ucha. Uświadomiłem sobie jednak, że przecież kask nie ma żadnych słuchawek wysyłających falę głosową. Zapisałbym głuche milczenie. Wszystko, co słyszałem mając kask na głowie, docierało wprost do ośrodka słuchu w moim mózgu, z pominięciem ucha, i było tam przekazywane jakimiś impulsami nie mającymi nic wspólnego z falą akustyczną. Trzeba więc zastosować inną metodę. Postanowiłem sam opisywać do mikrofonu to, co widzę, i powtarzać od razu to, co usłyszę.

Magnetofon nastawiłem na szybkość 4,75 cm/sek, co oznaczało, że bez przekładania szpuli będę mógł nagrywać przez cztery godziny. Leżąc trzymałem mikrofon ręką przy ustach. Otrzymałem nagranie zupełnie niezłe i nie miałem trudności z przepisaniem i odtworzeniem podsłuchanego dialogu. Notuję go z pewnymi skrótami.

O 22.25 zobaczyłem zegar na wieży kontrolnej lotniska w Roissy. Było jaskrawo oświetlone wojskowymi reflektorami ustawionymi dookoła płyty. Przy końcu pasa stał Boeing 727, częściowo poza nim. Wyglądało, jakby brzuchem utknął w trawie — sprawiły to przedziurawione opony. Przed budynkiem dworca stał Boeing 707 towarzyszący pierwszemu w locie przez Atlantyk. Również w jego kabine palilo się światło. Pierwsza maszyna z porywaczami i zakładnikami była otoczona pierścieniem żołnierzy ukrytych w ciemnościach, poza linią reflektorów. Nie wiem, po co je zaświecono. Snopy jaskrawego blasku padały na kadłub maszyny. Nikt nie mógł nawet wyjrzeć przez okienko. Warczały agregaty spalinowe rozstawione jeszcze dalej, na polu.

Po krótkiej chwili przeniknąłem wzrokiem do kabiny pilota. Dowódca siedział na swym fotelu, z lewej strony, z przymkniętymi

oczami i odchyłoną w tył głową. Był nie ogolony. Na koszuli przeczytałem naszywkę: „cpt. Dick Carey”. Obok drzemał drugi pilot, blady, z twarzą pokrytą kroplami potu. Tuż za nimi, na siedzeniu odchylanym ze ściany, oparty ramieniem o pulpit przy radiostacji siedział jeden z porywaczy. Kim jest, poznałem od razu po czarnym wąsie, czarnych jak smoła włosach, ciemnej cerze i wydatnym nosie. Okazało się, że był dowódcą całej grupy. W przedziale pierwszej klasy ujrzałem dwójkę porywaczy, mężczyznę z plastikową torbą na kolanach i kobietę. Pasażerów stąd usunięto, tylko na półkach zostało trochę rzeczy. Do przedziału przylegało obszerne pomieszczenie gospodarcze. Zastałem tam dwie stewardesy i stewarda. Palili papierosy, jedna z kobiet spała, wyglądali na bardzo wy-czerpanych. I wreszcie główna kabina.

W tym wielkim samolocie wydawała się nieomal pusta. Foteli było ponad dwieście, ustawione w rzędach po dziesięć, jak w sali kinowej, a tylko pięćdziesiąt kilka zajętych. Większość pasażerów póleżała na odchylonych oparciach, próbując drzemać albo szeptem rozmawiając. Kilka kobiet płakało. Mimo zasuniętych firanek jasno było jak w dzień, dzięki sile reflektorów. Z tyłu siedziało jeszcze dwóch porywaczy pilnujących kabiny. Oni także trzymali obok siebie torby plastikowe.

Tu nic się nie działo, przeniosłem się więc znowu do kabiny pilotów, a następnie zdołałem usłyszeć i nagrać rozmowy, które tu przepisuję z taśmy.

*D i c k C a r e y, do mikrofonu:* Halo, Bill, jesteś u siebie w kabinie?

*B i l l, z głośnika* (domyśliłem się, że to pilot towarzyszącej maszyny): Jestem, stary, słucham cię.

*C a r e y:* Wiesz, Bill, przed chwilą rozmawiałem z tym szefem porywaczy, cały czas siedzi mi tu za plecami. Powiedział, że jest zrozpaczony. Wie, że za to, co robi, zostanie ska-zany na śmierć. Dlatego woli wysadzić się w powietrze. Razem z nami, rozumiesz? On jest coraz bardziej podniecony, wpada w gniew i ja go rozumiem. Siedzę w tym fotelu już osiem-naście godzin.

Ten facet jest przekonany, że amerykańska prasa go wykiwała, że cała jego akcja nie powiodła się i nic nie przekazano do wiadomości publicznej. Trzeba mu w jakiś sposób udo-wodnić, że jego

oświadczenie dotarło do ludzi. Błagam, byście sprowadzili do samolotu ko-goś ze środków masowego przekazu... Nie przestaję mówić, Bill, ale ty musisz mnie słuchać, jesteś jedyną osobą, z którą mogę rozmawiać. Trzeba coś zrobić, ogarnia nas obłąd. To szaleństwo, że łączność z ambasadorem została przerwana. Muszę wytłumaczyć piratowi, że coś tam działacie.

**B i l l:** Kontakt z tobą nigdy nie był przerwany. Próbujemy zrobić wszystko, co możli-we. Chcę ci też powiedzieć, że ich ulotki zostały rozrzucone nad Paryżem i Londynem. Rzu-ciliśmy je z wysokości pięciuset metrów. Samolotem strasznie rzucało, zwłaszcza nad Londynem. Nasz samolot był naprawdę w niebezpieczeństwie. Gdy otworzyliśmy okno kabiny, było to coś niewiarygodnego. Wyrzuciliśmy ulotki nad Londynem, widzieliśmy, jak spadały. Podobnie było nad Paryżem.

**C a r e y:** Bill, jesteś moim przyjacielem i ja ci wierzę, ale nie jesteś przyjacielem pirata i on ma wszelkie powody, żeby nie wierzyć w to, co mówisz. Ci ludzie zachowywali się przy-zwoicie i zasługują na konkretne dowody. Twoje zapewnienia są dobre dla mnie, ale nie dla nich.

**B i l l:** Nie widziałeś ulotek wyrzucanych nad Londynem?

**C a r e y:** Nie, my nic nie widzieliśmy.

**B i l l:** Po raz pierwszy leciałem rozhermetyzowanym Boeingiem, z otwartym oknem. Gdy chcieliśmy wyrzucić ulotki, buchnęły nam w twarz. Zmniejszyliśmy prędkość do 160 węzłów, dzięki użyciu hamulców powietrznych. Uzyskaliśmy zezwolenie na przelot nad obu stolicami i w Paryżu okrążyliśmy wieżę Eiffla. W Londynie przelecieliśmy wzdłuż zachodniego brzegu Tamizy i rzuciliśmy ulotki nad samym centrum. Miałem nadzieję, że to widziałeś. W Paryżu nie mogłeś nic zobaczyć, bo byliśmy nad pułapem chmur, ale ulotki spadły.

**C a r e y:** Musisz zrozumieć, że podjęli oni walkę na śmierć i życie, by te ulotki zostały rozrzucone. Muszą mieć niezaprzeczalne dowody. Inaczej nas nie wypuszczą.

**B i l l:** Poczekaj, zostań na odbiorze i zawołaj porywaczy. Podamy wam komunikat rządu francuskiego...

Nastąpiła krótka przerwa, podczas której steward przyniósł kapitanowi butelkę coca-coli, zaś szef porywaczy zawołał z kabiny kobietę i oboje stanęli za fotelem pilota, patrząc w głośnik. Upłynęło

chyba pięć minut. Usłyszałem jakieś krzyki pasażerów. Zajrzałem tam. Zemdlała dziewczyna i stewardesa szukała leków w apteczce. Wreszcie głośnik się odezwał.

**W i e ż a:** Mówi Jerry Nichols, dyrektor Trans World Airlines we Francji. Opony samo-lotu zostały przedziurawione, zupełnie siadły, nie będziecie mogli wystartować. Minister spraw wewnętrznych prosił mnie, abym was zawiadomił, że są dwie możliwości: pierwsza — możecie być zastrzeleni na miejscu, druga — możecie oddać się w ręce władz amerykańskich. Koniec.

Szef porywaczy krzyknął na to z wściekłością:

„Dowody! To ostatnie słowo! Chcę, aby ktoś z nas pojechał do miasta i tam przekonał się sam”! — Wypchnął kobietę z kabiny i poszli naradzić się.

Pilot przyciągnął bliżej mikrofon, odezwał się znowu:

**C a r e y:** Chciałbym coś powiedzieć! Mówi do was kapitan Carey. Jestem sam w ka-binie. Ci ludzie nie mogą przyjąć waszego komunikatu. Mają tylko jedną odpowiedź na tego rodzaju ultimatum... — kapitan poczerwieniał, głos mu się zaczął łamać, z trudem przełknął ślinę, zanim znów przemówił: — Wiem, że dzisiaj jesteśmy w sytuacji, w której ludzie cywilizowani nie wiedzą, co począć wobec terroryzmu. Nie wiemy, jak się z nim uporać... Po-wiedźcie nam, proszę, dlaczego mamy umierać? Chcę tego się dowiedzieć. Chcę się dowiedzieć od całego świata, dlaczego to ultimatum jest tak sformułowane? Chcę wiedzieć, czy ci ludzie żądają czegoś, czego cywilizacja nie może im dać? Kapitan Carey przed mikrofonem. Skończyłem.

Już postanowiłem, że nikt nie może zginąć. Jedynym sposobem było rozbicie terro-rystów. Swoją drogą, także i mnie trudno było pojąć, dlaczego władze nie chcą im dać dowo-du. Teraz, gdy już notuję te słowa, wiem, że chodziło o utrudnianie i przewlekanie pertrakta-cji, by zmęczyć i psychicznie osłabić porywaczy.

Pozostało mi więc odszukać ładunek wybuchowy i broń w kieszeniach piratów. Napię-cie rosło, a porywacze tak byli podnieceni, że w końcu nawet przez nieuwagę mogli spowo-dować wybuch. Zająłem się plastikowymi torbami. Trzej porywacze trzymali je obok

siebie, jeden w pierwszej klasie, dwaj przy końcu kadłuba w kabinie pasażerskiej. Na torbie z jaskra-wo żółtego plastiku przeczytałem napis: „Shopping Center — Chicago Airport”. Wewnątrz niej odkryłem ozdobne pudełko czekoladek. Z bukietem kwiatów i samolotem na wieczku, owinięte w celofan, przepasane wstążką z napisem: „From Chicago, with love”. Takie właśnie sprzedaje się na lotniskach.

Wewnątrz pudełka zamiast czekoladek znajdowała się ziemista masa, podobna do pla-steliny, ugnieciona palcami, których ślady pozostały wyraźnie odcisnięte. Do niej wetknięty był też detonator z baterijką. Przewód wychodził z pudełka, ukryty w różowej wstążeczce, i kończył się przyciskiem w dłoni porywacza.

Zrozumiałem, dlaczego wybrali ten sposób zamiast granatów. Masa wybuchowa nie mogła być wykryta przez magnetyczne detektory na lotnisku, o ile takie w ogóle stosowano w Chicago do badania pasażerów na wewnątrz krajowych trasach. A baterijka też chyba była zbyt mała, żeby wywołać reakcję aparatu.

Chciałem unieszkodliwić ładunek w taki sposób, żeby porywacz nie zauważył żadnej zmiany. Mógłby wtedy zaalarmować pozostałych i zanimbym przeszkodził, kto wie, czy ktoś-ryś z nich nie nacisnąłby detonatora. Nie znałem składu chemicznego masy. Z całą pewnością zawierała azot i wodór. Mogłem więc spowodować usunięcie ze związku jednego z tych pierwiastków, a cała mieszanina straciłaby natychmiast własności wybuchowe. Tak, ale prze-kazanie takiej informacji wydało mi się trudne. Gdybym nie został zrozumiany, usunięcie azotu mogłoby nastąpić na przykład przez wybuch!

Nie, postanowiłem nie wdawać się w chemię i raz jeszcze zaufać Centrali — w końcu znano już tam sytuację i w ogólnym zarysie moje zamiary. Zdażyłem też uwierzyć, że dysponowano sposobami nawet zdalnej przebudowy atomów w celu wytworzenia nowej substancji.

Postanowiłem tylko wskazać związek, na jaki należy przerobić masę wybuchową, a że opakowanie wskazywało na słodyczne, wybrałem cukier. Ogólny wzór pamiętałem:  $C_6(H_{12}O)_6$ . Wyobraziłem go sobie z całą siłą, wymalowany białą farbą na masie wciśniętej do pudełka, a potem, w miejscu masy, białe kryształki. Tak na przemian, kilka razy, aż się dokonało. Bom-bonierkę wypełnił cukier. Upewniłem się o tym przenosząc spojrzenie na kabinę pasażerów i z powrotem do pudełka. Tam gdzie przedtem ukazywała się owa masa,



teraz zobaczyłem białe kryształki. Porywacz nic nie zauważył. Chyba nawet nie wydzieliło się ciepło. Nie poru-szył się wcale, siedział z nieprzytomnym spojrzeniem utkwionym w suficie. Twarz mu się świeciła od potu.

Tę samą operację przeprowadziłem z pozostałymi dwoma. Porywacze nadal ściskali w dłoniach przyciski detonatorów nie wiedząc, że są rozbrojeni. Jak się przekonałem, w kiesze-niach ani na szelkach pod marynarkami nie mieli rewolwerów.

Pozostało mi tylko czekać na rozwój wypadków. Tymczasem sprawy posunęły się na-przód. Zajmując się ładunkami widziałem, że otwierano drzwi samolotu i kobieta-porywacz wyszła na zewnątrz. W kabinie pilota został tylko on sam i szef porywaczy. Słuchali.

W i e ż a k o n t r o l n a: Halo, Dick! Przywieźli wreszcie tę kobietę. Rozmawia wła-śnie przez telefon ze Stanami.

C a r e y: Piraci nie wierzą, że ona jeszcze żyje.

W i e ż a: Jest w budynku, niżej...

Uznałem, że należy się przekonać samemu, co naprawdę się tam dzieje, i przeniosłem się z samolotu do budynku kontroli. Istotnie, w jakimś pokoju biurowym kobieta rozmawiała przez telefon. Korytarze pełne były żandarmów. Gdy skończyła rozmowę, weszła pod eskortą na wieżę, do mikrofonu. Tam połączono ją z samolotem i słyszałem, jak mówiła.

K o b i e t a: Zadzwoiłam do Chuvela. Powiedział mi, że słyszał, iż to się ukazało w „New York Times”. Ktoś mu też powiedział, że zamieszczono to także w „Chicago Tribune”. Jeśli chodzi o inne gazety, nie jest dobrze zorientowany. Był na pogrzebie w Oregon. Udało mi się też rozmawiać z panem Ceibergiem, który mi powiedział, że słyszał o ulotkach, ale nie widział, jak spadały. W Paryżu do nikogo nie dzwoniłam, ale uzyskałam zapewnienia w sprawie ulotek.

Przez pewien czas nikt się nie odzywał, aż z głośnika rozległ się głos pierwszego pilota.

C a r e y: Piraci chcą się poddać, ale oddadzą się tylko w ręce

władz amerykańskich.

N i c h o l s: Ambasador mi powiedział, że muszą się poddać władzom francuskim, ale że będą natychmiast przekazani Amerykanom. Zaraz wam podamy, w jaki sposób mają wy-siadać z samolotu.

Do Nicholasa zbliżył się Francuz w czarnym garniturze i począł mu coś tłumaczyć. W tym czasie z głośnika dobiegały strzępy rozmów prowadzonych w samolocie, zbyt niewyraźne, aby je zrozumieć. Czekałem, chcąc się upewnić, czy naprawdę policja nie zechce strzelać do porywaczy, kiedy już wyjdą na płytę. Mogli to przecież uczynić dla odstraszenia następnych, a ja już postanowiłem, że nikt tu nie będzie zabity. Jeśli ludzie mieli przestać się nawzajem mordować, musi stać się to prawem i bezwzględna zasada, obowiązująca wszystkich jednakowo! Po prostu powinno się zapomnieć, że można zniszczyć człowieka.

I właśnie wtedy rozległ się głos pilota, zupełnie zgaszony.

C a r e y: Słuchajcie, wieża! Ładunki wybuchowe, które znajdowały się na pokładzie, są nieprawdziwe. Jeden z piratów załamał się nerwowo, chciał się zabić i ładunek nie wybuchł. Spalił się tylko detonator. Otworzyli wszystkie paczki, jest w nich cukier. Mówią, że ich oszukano... Oni poddają się i chcą wiedzieć, jak to mają zrobić.

## 6.

Był u nas na obiedzie Adam. Z ożywieniem opowiadał o książce, którą przywiózł mu kolega z zagranicy. Adam miał ją przy sobie i obiecał przeczytać nam wyjątki. Tymczasem mówiło się o różnych rodzinnych nowinach. Podczas nakrywania do stołu, gdy na chwilę zo-staliśmy sami, spytałem Adama, co słyhać u doktora Chramca.

Chciałem poprosić, żeby go pozdrowił ode mnie, udając, że o nic więcej mi nie chodzi, ale pilnie nadstawiłem uszu. No, i usłyszałem.

— A, prawda — wykrzyknął Adam. — Przecież on ci pokazywał swoje hodowle... Człowieku! Nie masz pojęcia, zdaje się, że mu się udało. Pamiętasz, co ci mówił o tym bom-bardowaniu ziarna cząstkami o dużej energii celem wytworzenia mutantów?

— Pewnie! — obruszyłem się.

— Dowiedz się w takim razie, że to dało wynik! Zdumiewające, bo właściwie nie powinno się zdarzyć. Prawdopodobieństwo matematyczne jest niesamowicie małe, tak jak szansa zderzenia się dwu ziaren maku wystrzelonych do siebie z biegunów. Co się tam stało, jeszcze nie wiadomo. Jedno z napromieniowanych ziarn wykiełkowało i fantastycznie zaczęło się rozwijać. Chramiec przeniósł je natychmiast pod klosz i obstawił przyrządami pomiarowymi. Zostało zakorzenione w jałowym żwirze, nasączanym wodą destylowaną. Rozumiesz, chodzi o ścisłą kontrolę pierwiastków, jakie roślina otrzymuje. Pożywki były ściśle dozowane. Także powietrze dostarczane pod klosz było filtrowane i ściśle mierzona jego ilość. Oczywiście w takich samych warunkach umieszczono rośliny kontrolne.

— Zwiędły? — zapytałem.

— To było wiadome — odparł. — Takiego traktowania nie wytrzyma żadna normalna pszenica. Kiedy zużyły już zapas pożywienia zawarty w ziarnie, poczęły ginąć. Z wyjątkiem tego jednego źdźbła. Stąd prosty wniosek: mutant posiada zdolność przyswajania azotu z powietrza! Zrobiliśmy pomiary z Chramcem. Ilość azotu pod kloszem maleje w miarę wzrostu rośliny.

— To chyba jest już dowód? — zauważyłem.

— Prawie — odparł. — Ale Chramiec będzie mógł spać spokojnie dopiero wtedy, kiedy jego mutant wyda nasiona i z nich wyrośnie pszenica, która zachowa się w taki sam sposób.

Z tajemniczą miną ruszyłem do kuchni, wzywany przez Elę, by przynieść wazę z zupą.

Książka, którą przywiózł Adam, została napisana przez Josefa Blumricha, inżyniera, dyrektora jednego z ośrodków kosmicznych NASA w Stanach Zjednoczonych. Napisana po niemiecku, ma tytuł: „Tak objawiły się niebiosy”.

Siedzieliśmy we czworo w pokoju Huberta na fotelach, popijając herbatę i pochłaniając ciasto upieczone przez Elę. Zośka wyszła gdzieś z koleżanką zaraz po obiedzie, był więc zupełny spokój. Hubert, kiedy usłyszał, o co w książce chodzi, skrzywił się, ale pozwolił Adamowi mówić.

— Mnie też się wydało w pierwszej chwili — zaczął Adam — że nie warto sobie zwracać głowy tym jakimś rzekomym opisem lądowania statku kosmicznego na Ziemi dwa i pół tysiąca lat temu, a zawartym w Biblii. Przeczytałem go jednak i zmieniłem zdanie. Wiecie, czym się Blumrich zajął? Postanowił wyjaśnić współczesnym, inżynierskim językiem, treść księgi Ezechiela, objaśnianej przez badaczy jako objawienie Chwały Pana. W istocie, o-wo proroctwo jest, jak się wydaje, po prostu opisem wydarzenia oglądanego przez Ezechiela, który podaje dokładnie miejsce i datę. Raz jeszcze się okazuje, że biblijne kroniki znacznie mniej mają wspólnego z palcem bożym, a znacznie więcej ze zwyczajnym życiem. Co prawda tym razem nie tak bardzo zwyczajnym — roześmiał się Adam. — Zaraz wam przeczytam:

*1. W trzydziestym roku, w czwartym miesiącu, piątego dnia tego miesiąca, gdy byłem wśród wygnańców nad rzeką Kebar, otworzyły się niebiosy...*

— Ten rok trzydziesty — wyjaśnił Adam — odpowiada według badaczy Starego Testamentu rokowi 592 przed naszą erą.

— No i cóż takiego strasznego wtedy się stało? — spytał kpiąco Hubert.

— Posłuchajcie tylko:

*4. I spojrzałem, a oto gwałtowny wiatr powiał z północy i pojawił się wielki obłok, płomienny ogień i blask dokoła niego, a z jego środka spośród ognia lśniło coś jakby błysk polerowanego kruszcu.*

— I to ma być według ciebie lądowanie rakiety? — odezwał się Hubert.

— Na razie nic nie twierdzę — odparł Adam. — Ale gdybyś ty sam chciał opisać dzisiaj pionowe lądowanie pojazdu kosmicznego, opuszczającego się z wysoka, na słupie ognia z silnika odrzutowego, z

grzmiącym hałasem i podnoszącego chmurę pyłu z ziemi, opisałbyś to pewnie dokładnie tak samo, jak ten kapłan sprzed wieków. Słuchajcie dalej!

Hubert milczał, Ela czekała z zaciekawieniem malującym się na twarzy. A ja? No cóż, też nic nie mówiłem. Przecież ja wiedziałem więcej niż wszyscy oni tu zebrani i więcej od inżyniera Blumricha. I choć pierwszy raz usłyszałem w tej chwili o tekście Ezechiela, dla mnie był on od razu tak prawdziwy, jak to, że w moim pokoju wisiał na gwoździu przy tapczanie kask.

Adam czytał:

*5. A pośród niego (blasku) było coś w kształcie czterech żywych istot. A z wyglądu było podobne do człowieka.*

*6. Lecz każda z nich miała cztery twarze i każda cztery skrzydła...*

*7. Ich nogi były proste, a stopa ich nóg była jak kopyto cielęcia i lśniły jak polerowany brąz.*

*8. Pod ich skrzydłami z czterech stron były ludzkie ręce...*

*24. A gdy posuwały się, słyszałem szum ich skrzydeł jak szum wielkich wód... A gdy stanęły, opuściły swoje skrzydła.*

*25. I było słychać szum znad sklepienia, które było nad ich głowami. Gdy stanęły, opuściły swoje skrzydła.*

— I to nadal będziesz nazywał technicznym opisem? — odezwał się Hubert.

— Oczywiście! — zawołał Adam. — Pamiętaj, kiedy żył Ezechiel! On po prostu nie miał odpowiednich słów na nazwanie tego, co zobaczył. Jego słownik składał się z takich pojęć, jak: pasterz, rolnik, barany, dzban gliniany, toporek i szpila brązowa, tkanina... Takiego słowa jak „podwozie” nie znał. Dla niego talerz oporowy metalowej nogi kojarzył się z kopy-tem cielęcia. Coś, co szumiało i obracało się w powietrzu, mogło być tylko skrzydłami, nie wirnikiem helikoptera.

— Te cztery żywe istoty mają być więc helikopterami? Ciekawe, w jaki sposób?

— Pojazd musiał na czymś stanąć na ziemi. Wyobraź więc sobie, że wokół dyszy silni-ka atomowego miał cztery podpory o kształcie kolumn, jakby cztery tułowia. Z każdej mogły jeszcze wystawać dwie teleskopowe nogi amortyzujące uderzenie. Na kolumnach umieszczo-

no wirujące łopaty, które składały się, gdy przestawały pracować. One służyły do łagodnego lądowania, już w ostatniej fazie, i do przelotów maszyny nisko nad ziemią, bez potrzeby włączenia silnika odrzutowego. Każda kolumna była też wyposażona w cztery ręce: metalowe chwytaki, manipulatory, kierowane z kabiny i służące, na przykład, do pobierania prób gruntu do badań tej nieznannej planety. Cztery twarze to mogły być po prostu jakieś nity albo urządzenia. W każdym razie musiały tam być oczy: obiektywy telewizyjne. Inaczej załoga nie wiedziałaby, co znajduje się pod statkiem, nie mogłaby też używać manipulatorów — Adam spojrzał zwycięsko na Huberta, ale ten jakby przestał słuchać, uderzył się w czoło.

— Do licha — powiedział — zaraz to sprawdzimy, przecież Biblia gdzieś tu była. — Zaczął szukać wzdłuż półek, aż wyciągnął tom oprawny w skórę. Przez chwilę przewracał na kolanach kartki, aż oznajmił: — Jest, Księga Ezechiela. Zaraz się przekonamy. I zaczął czytać, dokładnie to samo, co Adam: „W trzydziestym roku, w czwartym miesiącu...” Hm... — potarł podbródek.

Słuchaliśmy z uwagą.

*15. A gdy spojrzałem na żywe istoty, oto na ziemi obok każdej ze wszystkich czterech żywych istot było koło.*

*16. A wygląd kół i ich wykonanie były jak chryzolit i wszystkie cztery miały jednakowy kształt: tak wyglądały i tak były wykonane, jakby jedno koło było to drugim.*

*17. Gdy jechały, posuwały się w czterech kierunkach, a jadąc nie obracały się.*

*19. A gdy żywe istoty posuwały się naprzód, wtedy i koła posuwały się obok nich, a gdy żywe istoty wznosiły się ponad ziemię, wznosiły się i koła.*

— Taak... — powiedział Hubert zupełnie innym już tonem. — Trzeba przyznać, że jak na przywidzenie czy sen proroka jest to opis nazbyt szczegółowy. Chyba tylko inżynierowi mogłoby się przyśnić coś podobnego. Zresztą... — Hubert nie zauważył nawet, że przeszedł już na stronę syna.

— Zdziwisz się — przerwał mu Adam — kiedy ci powiem, co Blumrich mówi o tych kołach. Ba, nie tylko mówi, opierając się na opisie Ezechiela skonstruował koło i opatentował je!

Pochyliliśmy się nad książką.

— Patrzcie — pokazywał — jeśli potniemy oponę samochodu na poprzeczne plasterki, każdy z nich będzie mógł się niezależnie obracać wokół własnej osi, prostopadle do płaszczyzny koła. A wtedy cały pojazd przesunie się w bok po ziemi, nie zwracając wcale kół w kierunku jazdy.

— To prawda — zgodziła się Ela.

— No dobrze — rzekł Hubert — ale to nie wyczerpuje sprawy. Jeśli był pojazd, to ktoś musiał nim kierować i gdzieś powinna znajdować się kabina załogi.

— Werset 22! — odpowiedział Adam.

Hubert odszukał i przeczytał:

*22. Nad głowami żywych istot było coś w kształcie sklepienia, błyszczącego jak niesa-mowity kryształ, rozciągniętego w górze nad głowami.*

*26. A nad sklepieniem, nad ich głowami, było coś z wyglądu jakby kamień szafirowy w kształcie tronu; a nad tym, co wyglądało na tron, u góry nad nim było coś z wyglądu podo-bnego do człowieka.*

Hubert skończył, nie odzywał się już, tylko w zamyśleniu wpatrywał się w księgę.

— Niezwykłe — szepnęła Ela. — Zauważcie, gdyby to był opis widzenia, Ezechiel na pewno napisałby „człowiek”, „człowiek siedzący na tronie”. Bo choć w snach i przywidzeniach wszystko ma jakby zatarte kontury, mimo to nie mamy wątpliwości, że oglądaliśmy psa, konia albo człowieka. A on wcale nie ma pewności. Widział to z dołu, za wypukłą szybą kopuły, szafirowej dla ochrony przed promieniowaniem. I to wahanie po całym opisie tak szczegółowym... Więc jednak tu byli? — spojrzała pytająco na brata. — A pamiętasz płasko-rzeźbę z Palenque?

Te ostatnie słowa były do mnie skierowane, bo cały czas się nie odezwałem. Jak ja mógłbym tego nie pamiętać! Nie tylko tu byli kiedyś — mogłem odpowiedzieć — ale po-wrócili i zastali świat zupełnie odmieniony. Zaledwie dwadzieścia pięć wieków i oto w miejscach szafasów i pasterzy, glinianych domów i jucznych osiołków — cywilizacja zdolna do przyswojenia ich zdobyczy.

Dziwnie się czułem siedząc między moimi najbliższymi i nie

mogąc im zwierzyć tego, co wiedziałem. Nie mogłem tego zrobić. Jednak w takiej chwili ciążyła mi ta moja wiedza i, czułem to, oddalała mnie od ludzi, z którymi byłem najbardziej związany. Wiedziałem, że odchodzę od nich i że oni już to dostrzegają. Nieraz już chwytałem pełne niepokoju i troski spojrzenia Eli czy Huberta. Wiem, że próbowali dowiedzieć się czegoś od moich kolegów z klasy. Usłyszeli, że zrobiłem się dziwny, inny trochę niż dotychczas, że jakbym odsuwał się od dawnych przyjaciół... Nauczyciele stwierdzili, że spoważniałem.

Wiedziałem, że to będzie się pogłębiało, i zaczynałem pojmować, że to będzie cena, którą zapłacę za moje wtajemniczenie i pracę, jaką samotnie podjąłem. I której za nic bym się nie wyrzekł.

Dziś Papanicolau wychodząc z klasy poprosił, abym poszedł z nim do pokoju nauczycielskiego. Tam wyjął ze swojej czarnej teczki plik luźnych kartek, zadrukowanych równaniami matematycznymi i upstrzonych barwnymi poprawkami.

— Dostałem już z drukarni korektę tej pracy — powiedział. — Chciałem ci pokazać, jak będzie wyglądała.

Pokazał mi jeszcze coś innego: list od słynnego holenderskiego matematyka, Ter Laana.

— Przesłałem mu to do dyskusji i oceny — wyjaśnił — zanim ukaże się drukiem. Większości listu nie zrozumiesz, bo to matematyka, ale jest kilka zdań na początku, proszę...

*Od trzech nocy nie spałem — przeczytałem drobne litery profesora Ter Laana. — Ile razy się kładę, przychodzi mi na myśl, że matematyk nie może przespać chwili, kiedy rodzi się coś nowego w jego nauce. Przed takim określeniem już się nie waham. I pomyśleć, stało się to za mojego życia!*

Papanicolau już nie nalegał, abym mu ujawnił, w jaki sposób doszedłem do takiego rozwiązania klasówki.

— Cóż, nadal nic mi nie powiesz? — zapytał jedynie.

— Może, kiedyś... — odparłem.

— Jak chcesz — westchnął. — W każdym razie we wstępie do pracy zamieszczam podziękowanie dla ciebie za podsuniecie autorowi właściwego przekształcenia.



Coś przedziwnego mi się wydarzyło. Jest takie pismo „Radar”, zamieszczające adresy młodych ludzi z różnych krajów świata, którzy pragną nawiązać korespondencję ze swymi rówieśnikami. Numer „Radaru” wpadł mi w ręce w poczekalni u dentystki. Dyskretnie go złożyłem i zdołałem wynieść. Pochodził co prawda sprzed kilku miesięcy, ale dla mnie to nie miało znaczenia. Zawierał takie ogłoszenie:

### ADY AR BHARATI lat 18

Indie, Calcutta 22, skrytka pocztowa 1841,  
nawiąże kontakty z posiadaczami kasków.

Prosi o listowne opisanie miejsca zamieszkania i podanie daty.

Nic więcej, a przecież podziałało na mnie jak uderzenie gromu. Więc nie byłem jedyny. Co za ulga!

Itrochę żalu. W końcu poczułem się szczęśliwy. Nie ja jeden zostałem wybrany, nie ja sam przeznaczony do dźwigania ciężaru!

Wątpliwości nie miałem, ogłoszenie różniło się od wszystkich pozostałych. Po cóż był-by ten zwrot „opisanie miejsca zamieszkania”? Był zrozumiały tylko dla posiadaczy kasku, aby dzięki niemu zrealizować spotkanie. Nikt inny nie prosił też o datę. Kończyło się wszędzie na propozycji wymiany znaczków pocztowych, płyt czy widokówek, bez podawania terminów.

Odpisałem natychmiast, wybierając troskliwie odpowiedni dzień, każdy piątek, kiedy na pewno jestem w domu, rodzice na koncercie. Godzinę tak późną, aby przy różnicy czasu wynoszącego cztery i pół godziny, on w Kalkucie był już na pewno po szkole czy po pracy.

„Z posiadaczami kasków”! Było więc nas więcej wtajemniczonych? Wiedział to już na pewno, czy na razie tylko podejrzewał? A ja na to nie wpadłem, zbyt przejęty sobą... Może wielu takim jak ja powierzono niezwykle zadanie? Pojąłem, że porozumienie między nami jest sprawą podstawową. Należało przecież rozdzielić zadania, żeby nie marnować czasu. Łatwiejszy też stałby się wybór nowych kierunków działania.

Teraz przypomniałem sobie takie drobne zdarzenie sprzed kilku

tygodni. Zatrzymałem się na Puławskiej przed wystawą sklepu sportowego. Między włoskimi butami narciarskimi wystawiono też jedyny importowany kask dla zawodników biegu zjazdowego. Rzecz jasna, przykuł moją uwagę. A kiedy go oglądałem, obok przystanąła dziewczyna. Nie wiem, jak się nazywa, choć dobrze się znamy z widzenia. Ona mieszka w pobliżu i raz czy dwa z nią rozmawiałem kupując w kiosku gazety.

— Chciałbyś mieć taki? — spytała.

— Mam — wyrwało mi się. Niezadowolony z siebie, dodałem: — Cześć! — i ruszyłem w swoją stronę.

— Tak? — zdążyła powiedzieć. — Ciekawe... — spojrzała na mnie badawczo. — Bo ja też...

Nie zatrzymałem się, nie byłem w nastroju do rozmowy. Nic łatwiejszego niż teraz to naprawić, co parę dni ją spotykam.

A poza tym... to jest ładna dziewczyna.